N. 26. WARSZAWA d. 17 (29) Czerwca 1872 ROKU.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.



## SALOMON

(z Heinego).

Umilkły trąby, nie grzmią puzony—
Cicho — Salomon śpi utrudzony
Na zdobnéj rzeźbą łożnicy.

Archaniołowie snów króla strzegą —
Sześć kroć po tysiąc z prawicy jego,
Sześć kroć po tysiąc z lewicy.

Gdy nocne mary pełzną do łoża,
Ściśnia szeregi ta armja boża,
Armja Indyjskiéj stolicy,

I wznosi miecze w koło śpiącego —
Sześć kroć po tysiąc z prawicy jego,
Sześć kroć po tysiąc z lewicy.

I śpi król Judy, pan Izraela,
Promień mądrości z czoła mu strzela,
A usta szepczą z westchnieniem:

„Władzy i bogactw świat mi zazdrości,
Lecz, Sulamito! bez twéj miłości
Żywot mój marnym jest cieniem"...

W. Gomulicki.

DO ŁASKAWYCH

## CZYTELNIKÓW

POWIEŚCI

## WIELKI NIEZNAJOMY

OD AUTORA.

Dochodzą mnie wieści, iż niefortunne zakończenie mojego opowiadania, nie dosyć zadowolniło czytelników, którzy się może spodziewali iż po zwalczeniu tysiąca przeszkód i zwycięzeniu spruchniałych przesądów, dwa kochające się serca zostaną połączone sakramentalnie na długi żywot szczęśliwy. Dla nas samych to zakończenie nierównie by milszem było, ale cóż przeciwko nieubłaganéj poradzić rzeczywistości? Niemogło być inaczéj jak się stało, bo żyjemy w tym wielce praktycznym wieku XIX, unikającym o ile możności wszelkiéj walki, ze światem, z przesądem, z trudnościami zadania życia, w którym najszlachetniejsze nawet istoty ulegają pewnéj gnusności serca. Bohaterka powieści zlękła się szlachetnego godła pracy, przypomniawszy sobie że zamiast niego, do szlacheckiego herbu miała prawo, i że dziś, tylko wychowanie, wykształcenie, światło i cnota klejnotem szlachectwa prawdziwego darzą. Ukaraną też została za to dostawszy za męża próżniaka, komedjanta, jednego z tych awanturników co czepiają się klamek pańskich i idei, aby przy nich upiec przyszłość błyszczącą. Nad bohaterem wcale się litować nie należy, wprawdzie pierwszy jego ideał mgłą zaszedł na wieki, ale ta skromna, łagodna dobra istota, która mu towarzyszyła w galerji florenckiéj, godną była dzielić z nim losy. Było to dziecię pracy, córka fabrykanta, który dobiwszy się majątku za pierwszy poczytał sobie obowiązek dać dzieciom wychowanie, jakiego nasz czas wymaga. Wielki nieznajomy niepotrzebował zobaczywszy panienkę w sklepie, w którym dwie siostry utrzymywały książki i nadzorowały nad przedażą, ukrywać się z tem czem był. Spotkał potem całą rodzinę na koncercie w Szwajcarskiéj dolinie, poznał się z ojcem i matką, wszedł do ich domu i znalazł jeden z tych rzadkich u nas salonów, w którym obok największéj prostoty obyczajów, znać było smak wykształcony. życie ducha obok życia powszedniéj prozy połączone szczęśliwie i zgodnie. Bywali tu tylko ludzie tego skromnego kółka, nie roszczący sobie pretensji ani do baronowstwa giełdowego, ani do szlachectwa pożyczonego, nie wstydzący się rąk spracowanych, szczęśliwi że grosz zdobyty dawał im możność niejedzenia szparagów w Styczniu, ale kupowania książek, nut, obrazów i używania tych wyższych życia rozkoszy, które są jedynemi bez goryczy na dzień i bez zgryzoty na jutro. Gdy się dosyć poznali by się ocenić mogli, podali sobie ręce, piękna dzieweczka zarumieniła się, ślub odbył się u Ś. Krzyża i państwo młodzi do Włoch wyjechali. Powróciwszy zaś mimo dostatków swych i możności próżnowania, zajęli się czynnie powołaniem swem, czując że w niem dla drugich wiele uczynić mogli.

Nic łatwiejszego jak zbogaciwszy się pracą, zachorować na odpoczywanie bezczynne i na państwo, ale ten co zrobił majątek w handlu, na rzemiośle, w fabryce, ma obowiązek ludziom tegoż powołania przodować, przewodniczyć, pomagać, kierować, a nie dezerterować z pola. Tak też uczynił wielki nieznajomy, który z gustem daléj kieruje swym magazynem, każe szyć, krajać, i czeladź swą uczy, kształci, dopomaga jéj aby dorobiła się jak on nietylko grosza ale światła i serca! Widzicie więc kochani czytelnicy, że lepiéj wypaść nie mogło, jesteśmy jak Marmontel i pani de Genlis (w późniejszym wieku) moralni i przykładni.

Co się tyczy pani G... ta w Krakowie przyjmowaną jest w najlepszych towarzystwach i nie bywa nigdzie tylko tam, gdzie mówią najczystszą francuczczyzną. Dla czego jednak pobladła, smutną jest, zniecierpliwioną i wcale się nie wydaje szczęśliwą,—powiedzieć nie umiem. Prawdziwy, autentyczny, galicyjski hrabia, (jeszcze Józefińskiéj kreacji) stara się ją pocieszyć. Chodzą razem na kazania ks. G— i na odczyty hr. T.—i może być bardzo że on ją z nudów uleczy. Mąż jest bardzo szczęśliwy, bo się przez niego spodziewa sobie *savonnettę* wyrobić w Wiedniu Ale to tajemnica!!

27 Czerwca 1872.

J. I. Kraszewski.

# To i owo.

Jedną z charakterystycznych cech obecnéj naszej chwili, jest bez wątpienia natarczywe przenoszenie się prowincji do miasta. Codzień ktoś się sprowadził, sprowadza, lub się ma sprowadzić.

Bójcież się Boga, moi państwo! toćże nareszcie skończy się na tem, że nam rozepchacie nasze miasto. Przecież macie u siebie na wsi wygodniejsze mieszkania, które was nic nie kosztują, chleb wam się sam na polu rodzi, mięso w oborze, owczarni, w karmniku i kurnikach kwitnie. Cóż jeszcze? Ogród macie, w którym wam nikt pod nos ogonem nie kurzy, ani obrazów nie urządza; rozliczne kwiaty uśmiechające się do was w tym ogrodzie, a także poziomki w lesie,—jeśliście tylko tego ostatniego za trzydzieści srebrników (czytaj 4300 Rub. Sr. za włókę), Niemcom nie zaprzedali. Tu u nas przeciwnie, wszystko djable kosztuje. Tu u nas widzicie, kanalizacji jeszcze nie urządzono—ztąd powietrze wcale nie dobre. Tu nawet, jeśli się znajdzie żydek jaki usłużny co pieniędzy pożycza—to zaraz elegant wielki—cygara pali—kawę pije w Krasińskich ogrodzie—do *tyjatru* chodzi. A za to znowu daleko większy procent bierze niż Chaim lub Mordko. Warto się zastanowić nad tem wszystkiem. Jakże? Miastu budowli nie przybywa, i nawet nam miejscowym dostatecznie już ciasno, a wy jeszcze macie pretensję przenosić tu swoje Bogi, które są wiejskie, i jako takie na wsi tylko cześć odbierać powinny. Nie mówię na czas jakiś—tak oto w gościnę—z wełną, na loterję fantową, wyścigi, na wody.

Na szczęście, są i tacy—nawet z dniem każdym coraz ich więcéj przybywa.

Już to doprawdy, zaraz przy pierwszem spotkaniu, poznać łatwo wieśniaka. Oblicze rzeźwe—mina gęsta—gdzie to do tego nam, miejskim zdechlaczkom i całéj naszéj komitywie! Albo i panie tamtejsze. Samo zdrowie—sielanka panie dobrodzieju! Prawda, że leczyć się przyjeżdżają—ale to więcéj podobno z pieniędzy, jak z choroby.

Pamiętam, nie dawno temu, u wód w Saskim ogrodzie, upatrzyłem sobie panienkę jedną wiejską. Śliczności dziewczynka—istny obrazek! Bieluchna, różowa, blondynka. W sukience zielonéj, w pasterskim kapelusiku z makówkami, wyglądała zupełnie jak Zosia z pana Tadeusza. Nawet nie. W tych swoich majowych osłonkach, podobna była do różyczki z listkami,—jakoż w skrytości myślałem sobie nieraz: czy też ten kwiatek może mieć pazurki—chcę powiedzieć: kolce? Aźci w jakieś dni kilka, widzę ją znowu... niby ona—i niby nie ona. Cóż u licha? w grenadinach, w indjanach, z ogonem nawet, z szarfą Rzymską—wszystko jak potrzeba—to jest prosto od Włodkowskiego, a także *dechez* Thonnes. No, przyzwoicie—nie ma gadania—ale.... ani to już Zosia, ani różyczka.

No i proszę, jaki to człowiek bywa czasem bałwan osobliwy! Poprzednio, nikt prócz mnie jednego, nie zwracał na nią uwagi, teraz zaś słyszę nagle po za sobą:

— Patrzaj—ta tam—w toczku z piórkiem—niczego. Papa musi mieć worek pękaty. Gdyby tak—tego.

— E, córka obywatelska—nie daliby.

— Za Warszawiaka?!

Któż to mówił te rzeczy? Młodzieńcy przyszłości. Panowie ci nie wyglądali na to, żeby mieli kiedy słyszeć o panu Tadeuszu—za to różyczki, nosili w dziurce od guzika.

Rzecz dziwna, że to takich nie siejesz nigdzie, a wszędzie bujają. Warszawa nasza liczy ich tysiące. O każdéj dnia porze, gdzie zechcesz, w Cyrku, w Dolinie, w Ogrodzie Saskim, w Teatrzykach, w Łazienkach, u Bocquеta, u Stępkosia, u Loursa, pod werandami i na górce, przed kościołami w niedzielę, nawet po mleczarniach i kioskach z wodą sodową—wszędzie ich pełno. I zawsze z papierosikiem, zawsze w świeżych rękawiczkach, z coraz inną laseczką—nie mówiąc już o reszcie ubrania. Słowem, że taki, naraz jeden, ma sobie najmniéj ze sto rubli—które jeszcze kilka razy do roku odmienia. Do tego, gdzieś przecie także i mieszka. Więc tak razem to wszystko wziąwszy, nie może być żeby miał mniéj dochodu nad półtora tysiąca rubli. Zkąd je tedy bierze? No—po prostu *ma* i na tem koniec.

O Warszawo! o ty głowo zakuta! Wiedzże przecie: że masz do wyżywienia dziennie trzykroć sto tysięcy żołądków; — co ci tedy w to wchodzić: z czyjéj kieszeni płaci się ten budżet z dziś na jutro? To taka widzisz alchemika nowoczesna. Są tajemnicze roboty, których nie wyszlifujesz inaczéj jak po bruku; są przemysły, których nie wysiedzisz gdzieindziéj jak po miejscach uczęszczanych; są nareszcie rzemiosła, które... no, przy których obejść się można bez pracy.

Ciekawi muszą być ojcowie takich panów.

Przypuszczam, że właśnie zdarzyło mi się nie dawno temu, na drodze mego życia, coś podobnego napotkać.

Było to u wód mineralnych w Saskim ogrodzie, jak raz pamiętam, w dzień pogrzebu Moniuszki. Tylko co skończono grać Introdukcję do Lohengrina. Właśnie miałem wstać z ławki, kiedy w tem słyszę, jak ktoś mówi do towarzysza:

— Siądźmy tu, panie Wacławie. Wybornie ztąd słychać. Zaraz się zacznie potpourri z Offenbacha (panowie ci wymawiali *podpury*).

Siedli tedy i słuchają. Zastanowili mię wytrawnością swoich sądów. Prawda i to że, byli porządnie już pełnoletni, bo miał z nich każdy po sześćdziesiątce. Jeden w takt głową kiwał, drugi nucił pod nosem.

— Przypominasz sobie panie Józefie, — galop z życia Paryzkiego.

— A to znowu z Sinobrodego.

— Jakim sposobem?

— No przecię scena kiedy on swoją żonę....

— Ale gdzież tam! Tu właśnie wchodzi Kalchas w infule...

— Cicho cicho, bo zaczynają: oh, que j'aime les soldats!" Cudowne! Offenbah przeszedł tam samego siebie.

— Pamiętasz? Goosz śpiewała.

— Nie Goosz, tylko ta—jakże tam?

Już to w ogóle, o zgodę u nas bardzo trudno byle się dwóch zeszło...... Bądź co bądź, podziwu jest godna erudycja tych panów, a także pamięć niezmierna. Choć znowu ta ostatnia ma to do siebie, że się daje kształcić w oznaczonym kierunku—więc przy stałości woli, a częstéj wprawie.. Miły Boże! co to jest jednak być profanem. Toćże mi się wydaje, że niechby po szybie palcami bębnić, albo tłuczkiem w patelnię, albo nawet rękojeścią od miotły w łopatę, byle tylko w takt kankana, to już śmiało może być arya lub recitativo, równie z Rozbójników, jak z księżnéj Gerolstein, jak z Męża za drzwiami, lub tym podobnie. Ha, ha, jak tu wszystko to jedno od drugiego rozróżnić? No, doświadczenie, rozwaga...

W kilka godzin potem, odbył się pogrzeb Moniuszki. Szedłem za trumną i dumałem. Taki Offenbach, toćto mocarz. Na jego operach, zawsze pełno—tak przynajmniéj sądzę,—bo czyżby je dla pustych ławek grywano? Tymczasem, połowy oper Moniuszki ani znamy, a druga połowa poszła w kąt dla braku zwolenników. I to taki, Flis, Verbum Nobile, Straszny Dwór, Hrabina. Za to przynajmniéj chowamy go uczciwie. Ale kiedy przyjdzie kreska na Offenbacha, to cóż wtedy zrobią jego czciciele? Śmiać się z tego będzie trudno, płakać zaś po nim nie wypada. A znowu ktoś przecie choć pożałować go musi—naprzykład rodzina. Jaka rodzina? czyż to ma taki rodzinę? Czyż on mógł mieć kiedy matkę, żonę, córkę? To może choć kogo takiego, do kogo przyznać się głośno wstyd. Ha! ale już jak wstyd, a nuż on będzie zobopólny? Przynajmniéj że nikt po nim w kłopocie nie będzie. Człowiek jest słyszę zabiegły. Bawi bo bawi, ale sobie za to grubo płacić każe. No, no, już to w kapłaństwa się on tam żadne nie wdaje, sztuka mu jest poprostu dojną krową, czy też kwoką znoszącą złote jaja. Zna się on lepiéj na sobie, niż ci co go wielbią. Wie on dobrze że nie dla niego potomność, ani pamięć serca. Ale oto dosyć już z przeproszeniem o tym Offenbachu.

Choć znów od niego zawsze prosto trafisz ku zabawie.

Już to miasto nasze nudzić się nie ma zwyczaju. Zużywszy jedną rozrywkę, zaraz ma drugą w pogotowiu. Po tańcach karnawału rauty, potem koncerta, następnie pora odczytów. Na tym ostatnim punkcie bolesnym, już—już się człowiek o mało nie rozespał, kiedy w tem na szczęście orzeźwiają go majówki, przejażdżki (nie bez szparagów i raków) aźci i Dolina Szwajcarska znowu go ku miastu zbliża. Tu zaś, patrzysz jedną razą—dajże go katu—a toż od góry do dołu same afisze. Toćżeto jak w jakim Paryżu. Cyrk. Tivoli, Eldorado, słowem, siedem teatrów, nie licząc już tego, który wśród klombów zaczajony, wabi ku sobie publiczność przechadzającą się po resztkach ogrodu, jakie gdzieniegdzie jeszcze pozostały. Więc proszę was moi państwo, wy którzy łaskawi jesteście w przejeździe nas nawiedzać, czemu byście nie mieli zostać z nami na dłużéj?

— Pilno nam za granicę.

— Czy to zakłady jakie zwiedzać?

— Nie, dla poratowania zdrowia. Do wód mineralnych.

— Macie je i tutaj.

— Ale karlsbadzkie.

— Są i karlsbadzkie,

— Fe odgrzewane, bez najmniejszego szyku.

— Alеż tam na miejscu, słyszeliście pewnie Karlsbad nadzwyczaj był zalany.

— O! już dawno obeschło.

— No, a źródło?

— Tak samo w niem sobie język oparzysz, jak i lat poprzednich.

— Ale słyszę, niemiec jakiś wleciał w to źródło?

— Już go wyjęto.

— Ha! ha! na upór nie ma lekarstwa. Jedźcież nareszcie, kiedy wam się tak koniecznie żąda. Pamiętajcie jednak, że raz na miejscu przychwytani, zapłacicie tam i za wylewy, i za ich obsychanie, i za niemca utopionego, i za wszystkie szkody i naprawy nawet za przestrach doznany i doznać się mogący..

— Mój panie, czyż to nas nie stać?

Gadajże z takiemi. Dziś to Karlsbadu się wybierać, jest już niemal patentem na przyzwoitego człowieka. Dowód to bowiem, żeś sobie dobremi obiady żołądek zepsuł. Wprawdzie, najczęściéj nie swojemi, no! ale kiedyś je strawił...

W zeszłą sobotę i niedzielę w resztkach ogrodu Saskiego odbyły się dwie wielkie uroczystości, jedna na zapomożenie funduszów Towarzystwa dobroczynności, druga na korzyść rodziny pozostałej po ś. p. Moniuszce. Obie się powiodły, publiczność zgromadziła się licznie, przechadzano się, rozmawiano i z wielką pociechą wszystkich nie duszono się tumanami pyłu, który dzięki powłóczystym sukniom w czasie stałej pogody, przechadzkę w ogrodzie robi prawie niepodobną.

W sobotę wieczorem dźwięki orkiestr wojskowych i p. Bilsego, brzmiały na wszystkie strony, a gdy zajaśniała bardzo gustownie urządzona illuminacja, część trupy p. Salamońskiego, rozpoczęła przedstawienie sztuk gimnastycznych i obrazów z żywych osób na estradzie umyślnie w tym celu urządzonéj. Trawnik cały jedyny już dziś i najpiękniejszy w ogrodzie, pokrył się tłoczną gromadą ciekawych, pomiędzy któremi byli niektórzy tak zapalczywie chciwi zapowiedzianego widowiska, że już na parę godzin zajęli najbliższe miejsca estrady, a niektórzy usadowili się na gałęziach pobliskich drzew, niby goryle w lasach podzwrotnikowych. Patrząc na nich, mimowoli teorja Darwina przychodziła do myśli. Na szczęście drzewek nie wyłamano, trawnik przy estradzie pożółkł, ale jest nadzieja że przy trwających ciągle deszczach odzyska wprędce utraconą zieloność. Spodziewaliśmy się gorszych pustek, oby zawód podobny częściéj nas spotykał.

W niedzielę na dochód rodziny po ś. p. Moniuszce, orkierstra Bilzego powtórnie wystąpiła w całym swoim komplecie. W starannie ułożonym programie, pomieszczone były trzy utwory zmarłego mistrza, których publiczność wysłuchała w poważnéj ciszy, darząc dyrektora oklaskami i kilkorazowem przywołaniem. Zasłużył na nie pan Bilze, a ten dowód jego współczucia w ogólnym smutku i żalu, nigdy nam nie wyjdzie z pamięci.

W sobotę podczas illuminacji, zapalono lamp zwyczajnych 6,000 kolorowych 1500, wiszących 150 osób było około 15,000 a dochód wyniósł brutto blisko 9,000 rubli.

W niedzielę na południowem zebraniu zgromadziło się osób około 7,000 wpływ zaś ogólny wyniósł rs. 2,600 który zapewne w całości przelany zostanie do zbieranego funduszu na uposażenie rodziny po ś. p: Moniuszce pozostałej.

W niedzielę odbyły się wyścigi konne, w których Wendety, Aldony, Urocze, Dzikie, Eklipsy, Foskari, walczyły nogami o zwycięztwo, a jezdcy pędząc na złamanie karku padali na ziemię jak gruszki, czego im nikt nie zazdrościł. W połowie wyścigowych zapasów, deszcz swoim zwyczajem kropnął zapalczywie i wtedy publiczność rozpoczęła gonitwy we wszystkiem naśladując i koni i jeźdców niefortunnych.

Teatr obdarzył nas nową nędzotą i to aż kilkuaktową p. t. Robert i Bertrand.

---

Z pozwolenia wyższéj władzy, na uposażenie rodziny ś. p. Moniuszki dozwolonem zostało zbieranie składek w całym kraju, w czem wszystkie redakcje chętnie przyjęły pośrednictwo.

Nie odmawiając téj posługi, o nadsyłanych darach zaraz w piśmie naszem pomieszczać będziemy wiadomość, zwracając przytem uwagę, że tu nie idzie o wielkie kwoty, ale o współudział wszystkich i dla tego zarówno rublowe jak i groszowe ofiary z wdzięcznością przyjmowane będą.

---

# KILKA SŁÓW O PRZEKŁADACH

Z POWODU ARTYKUŁU

## PANA STANISŁAWA NOWIŃSKIEGO

przez

**Elizę Orzeszkową.**

(Dalszy ciąg).

W prawdzie najznakomitsi popularyzatorowie Francuzcy i Angielscy są pozytywistami, a w Niemczech całe prawie ich grono wyszło z pomiędzy materjalistów. Mamyż przeto wyrzec się na wieki czytania Comte'a, Littré'go, Lyella, Milla, Moleschotta Fogta, Heckela i tylu innych głębokich badaczy i uczonych pisarzy dla tego, że wyznawane przez nich doktryny nie godzą się z doktrynami jakie wyznajemy lub wyznawać uważamy dla siebie za dogodne i przyzwoite? W błędzie był by każdy ktoby doktryny te uważając za zdrożne i szkodliwe, dla ochronienia od nich narodu, usiłował utrzymywać go w zupełnej o nich niewiadomości. Niewiadomość taka jest rzeczą zupełnie niemożebną, a gdyby była możebną, nie należałoby jej wcale życzyć narodowi jak wszelkiej niewiadomości która jest ciemnotą. Jedynym środkiem zabezpieczenia społeczeństwa od zaszczepienia się w niem fałszywych doktryn i zgubnych wyobrażeń jest oświecać je, otwierać mu oczy w całej szerokości aby patrzeć i wybierać umiał, wzmacniać mu rozum i wolę aby walczyć z tem co mu nieprzyjazne i szkodliwe potrafił. My czynimy wcale inaczej i wychodzimy na tem źle. Zamykamy przed narodem źródło zdrowia, aby z niem razem nie wpłynęła mu w organizm kropla trucizny. Chroniony w ten sposób naród, zdrowych wód nie pija, a truciznę swoją drogą połyka. Ileż to naprzykład nie narozprawiano u nas o Darwinizmie, w sensie naturalnie ujemnym dla tej teorji. Ogień! ogień! strzeżcie się! wołano ze wszech stron, ale dla czego miano się strzedz tego nikt ogółowi porządnie i dostatecznie nie wytłómaczył: na nie wiele by się to przydało, bo massa ludzi więcej jeszcze niż pojedyńczy człowiek w to tylko gruntownie i trwale wierzy, do czego doprowadzą go własne jej badania i przekonania. Dziś każdy u nas, nie wyłączając podlotków zna Darwinizm z imienia, a ile jest głów w narodzie, tyle panuje o nim najdziwaczniejszych najnieokreśleńszych śmiało rzec można najdzikszych wyobrażeń. Takie nieokreślone dzikie wyobrażenia szkodliwsze są nierównie dla umysłów, jak dokładna świadomość rzeczy choćby najgorszej. Za ich pośrednictwem najjaśniejsza nawet prawda, najniezbitszy pewnik przekształcić się może w umysłowego raroga, a cóż dopiero hypoteza! Jeśliby dzieła Darwina wyszły w przekładzie, jeśliby popularyzatorowie nauki podawali ogółowi rozbiory ich sumienne i rozumne, pustą deklamacją nie nużące a zestawieniem faktów i argumentów przekonywające, ogół własnemi oczami przypatrywszy się temu przerażającemu go dziś, a zatem jak wszystko co zakazane, wielce ponętnemu dziwolągowi nie ujrzałby w nim ani ostatecznego słowa wiedzy i mądrości, ani szatańskich pazurów przyodzianych myślą ludzką, ale poprostu ujrzałby szlachetne usiłowanie rozumu człowieka, śmiały rzut oka w przeszłość świata, hypotezę która chociaż jest tylko hypotezą, obiecuje dla nauki obfity plon odkryć i pewników. Ogół ujrzałby to wszystko i z pewnością nie stałby się przez to ani mniej samym sobą, stałby się może tylko mniej pochopnym do wierzenia ludziom na słowo, wprawniejszym w rozbieranie kwestji zawiłych i w chodzenie po ziemi własnemi nogami. Jakąż zresztą ma być granica, którąby oddzielić można dzieła naukowe dozwolone pewnemu narodowi od dzieł niedozwolonych?

Ktokolwiek by raz począł zakreślać taką granicę, musiałby siłą rzeczy popaść w ostateczności a nawet śmieszności. Wszakże można w społeczeństwie naszem napotkać osoby, kobiety szczególniéj, które lubiąc czytać i czytając wiele nie biorą przecież do ręki dzieła, choćby największą posiadającego wartość, skoro tylko dowiedzą się, że autorem jego był innowierca, Luteranin, np. Anglikanin, Mahometanin i. t. d. Do jakich zabawnych a zarazem smutnych wielce konsekwencji doprowadzić musi praktykowany w ten sposób system prohibicyjny, pojąć łatwo.

Słowo w słowo to samo co o dziełach popularyzujących umiejętności ścisłe, powiedzieć można o tych które zajmują się naukami społecznemi, ekonomiją, pedagogiją, moralistyką i. t. d. Iluż w piśmiennictwie naszem naliczymy ekonomistów i pedagogów? Bardzo nie wielu. Moralistów jest wprawdzie pełno ale jakich. Moralisty-filozofa, moralisty, którego nauki nie byłyby machinalnem powtarzaniem ech dawno słyszanych i dobrze znanych, któryby nauk swych nie ściągał z chmur i nie czerpał z powietrza, ale osnowę ich brał z istotnéj natury ludzkiéj i wysokich przeznaczeń człowieka na ziemi, takiego moralisty.. ba! może znaleść i można, ale ze świecą szukać go trzeba. Ponieważ zaś byt nasz ekonomiczny, system edukacyjny i stosunki społeczne, dalekie są jeszcze od takiego stopnia doskonałości, któryby już żadnéj poprawy nie potrzebował, nie powinniśmy pomijać żadnéj nauki mogącéj nam dopomódz do wstąpienia na drogi szersze i w pożytki obfitsze. Tu wszakże więcéj niż w dziedzinie umiejętności ścisłych występuje różnych kwestji, a zatem żelazne szczypce zwolenników kuratelli głośniej jeszcze dzwonią na alarm. Mnie się zaś zdaje, że roztrząsanie właśnie tych kwestji w dziełach ekonomicznych, pedagogicznych i moralistycznych, powinno być głównym powodem dla którego dzieła te obcemi dla nas zostać nie powinny. Mamyż wiedzą, pojęciami i dążeniami wyosobnić się z pomiędzy innych narodów? Posiadamy zapewne właściwości nasze plemienne i odrębne cechy powstałe z długo wiekowego życia naszego w dziejach, niemniej przeto społeczeństwo nasze jak każde inne, złożone jest z ludzi a ludzie różnych stron i plemion różniąc się z sobą w pewnych odcieniach temperamentu i zdolności, w głównych zarysach jednaką posiadają naturę, jednakie do spełnienia na ziemi mają przeznaczenie. Dwóch praw nie ma ani dwóch moralności, ani dwóch sprawiedliwości, tembardziéj zaś nie ma ich tyle ile jest na świecie narodów. Wprawdzie, każda nauka najzupełniejszą choćby prawdę zawierająca w sobie, w zastosowaniu podlegać musi i podlega modyfikacjom wymaganym przez czas, miejsce, okoliczności towarzyszące jéj zastosowaniu. Ale i cóż nam wzbrania zastosowywać i modyfikować? Nauki ekonomistów, pedagogów i moralistów mają w sobie to wielkie dobro, że nie stanowią kanonów któreby dosłownie spełniać należało pod groźbą grzechu śmiertelnego. Nie ludzie istnieją dla nich ale one dla ludzi. Podają rady i przepisy oparte na spostrzeżeniach i doświadczeniach, jeżeli w danem miejscu spostrzeżenia te, doświadczenia inny wydadzą rezultat, rady i przepisy dopełniają się lub zmieniają wedle potrzeby i okoliczności, mylnem jest mniemanie, jakoby naród mógł jakiejkolwiek nauki uczyć się na pamięć jak pacierza, i iść za nią na oślep jak baran za pasterzem. Czynić on tak może w takim tylko razie, jeśli długo trzymany w ciemności i ciszy, przy nagłem otworzeniu okna olśnionym i ogłuszonym zostanie światłem i echami płynącemi od szerokiego świata. A i takie olśnienie i ogłuszenie trwać może chwilę tylko,

po którój naród zacznie przyglądać się i przysłuchiwać i pomiędzy światłami i głosami wybierać dla siebie te, które mu przyjazne, które zgodnie brzmią ze strunami najgłębszéj jego natury.

Ludzie dręczeni obawą o przeinaczenie natury narodowéj wpływami zagranicznemi, ze wszech miar godni są szacunku i uważnego słuchania, bo serca ich są gorące, intencje szlachetne, ale z wielką uwagą zastanowić się należy, czy w obec pewnych okoliczności natura narodu nie topnieje najłatwiéj i nie mienia się na inną wtedy, jeśli naród za mało oświeconym jest aby osądzić samego siebie, zrozumieć przeznaczenia swe i obowiązki? Nawał nowych idei, nie zakryje przed społecznością owego celu do którego ludzkość dąży, któremu wszystkie siły nasze poświęcić winniśmy, jeśli wzrok jéj będzie dość bystry aby dojrzeć piękności tego celu, rozum dość oświecony aby pojąć jego wielkość, a serce dość uszlachetnione i wysoko podniesione, aby ukochać go zarówno wiernie jak gorąco. Ciemnota zaś najłatwiéj może cel każdy pochłonąć i pokryć całunem zaniedbania, i zapomnienia, gdyż miłość bez szacunku nie jest nigdy ani stałą, ani rozumem wspomaganą i kierowaną.

Powstaje z niéj szał tylko częściéj szkodliwy niż pożyteczny, i chwilowe fajerwerki, zapalające niepotrzebne pożary. Jakże zaś można szacunek i cześć łączyć z miłością nie znając przedmiotu ukochania, a można go znać pozostając w ciemności? Ognie ofiarne wtedy tylko płoną jasno i trwale, kiedy palą się na wysokościach, w nizinach gaszą je lub przyćmiewają mgły ziemskich wyziewów....

Nowe idee, te jakoby westchnienia ludzkości ku ideałowi prawdy i szczęścia, wrogiemi nam nie są, bo poznawszy je wszystkie, odrzucimy jedne z nich, zmodyfikujemy inne, przyjmiemy trzecie a jeśli pomylimy się kiedy w wyborze, ucierpimy na tem częściowo i czasowo, a cierpienia i straty wynagrodzą się nam w sto razy zdobyczami i pożytkami. Ale prawdziwie wrogą jest nam ciemnota, śród której nikt nie może nic wybierać i nic odrzucać. Ciemnota jest gniazdem pokus; chciwość, pycha, tchórzliwość lęgną się w niem, wzrastają bez przeszkody i igrają z człowiekiem jak dziecię z piłką lub wiatr z chorągiewką.

Widzieć, widzieć, i jeszcze raz widzieć i rozumieć potrzeba ludziom, aby wiedza i rozumienie wzmagały, rozszerzały i utrwalały miłość ich dla rzeczy pięknych, sprawiedliwych i świętych. Przysłowie niesie, że niewiadomość grzechu nie czyni, ale obserwacja życia ukazuje przeciwnie, iż ona to jest matką wielkiéj części przestępstw popełnionych przeciwko uczciwości, plam powstających na honorze jednostek i społeczeństw, wykroczeń przeciwko zasadom o tyle szlachetnym o ile rozumnym. Dowodami twierdzenia tego możnaby zapełnić arkusze i tomy.

(d. c. n.)

## Korespondencja ze Lwowa.

(Dokończenie).

Najwięcej a przytem i najniesłuszniéj gorszono się wyborem doktora Juliana Dunajewskiego, profesora ekonomii politycznéj przy uniwersytecie Jagielońskim i posła sejmu lwowskiego. Zarzucano mu głównie, że nie zasłużył na krzesło akademickie bo nic nie napisał, co jest fałszem, bo tym którzy poświęcają się naukom społecznym, znaną jest niejedna rozprawa naukowa dr. Dunajewskiego drukowana w czasopiśmie fachowem. A zresztą, czy członek akademii musi się koniecznie wykazać szeregiem dzieł, chociażby one nawet były tylko stosem bibuły poczernionéj? Czy oprócz czernidła drukarskiego wiedza i nauka i zdolność, nie mają innych środków, któremi świetniéj mogą się objawić i skuteczniejszy wpływ wywrzeć?

Dr. Dunajewski jest znakomitym profesorem a może jeszcze znakomitszym mowcą, na co zgadzają się nawet jego najwięksi przeciwnicy. Czy takie dwie zalety nie dają kwalifikacji na członka akademii? Zaglądnijmy tylko do dziejów akademii paryskiej, która przecież z większą łatwością może przebierać pomiędzy ludźmi, a iluż tam znajdziemy mówców i profesorów znakomitych, którzy nie drukiem lecz słowem pracowali dla nauki i krzewili wiedzę?

Spokojnie i bez żadnych wyrzutów odbył się wybór w oddziale nauk przyrodniczych. Wybrani zostali: prezes Towarzystwa naukowego dr. Józef Majer, dr. Ludwik Teichmann, dr. Fryderyk Skobel i dr. Stefan Koczyński.

Hałas i niezadowolenie wywołane wyborem pierwszych członków akademii ucichł już obecnie, bo podstawą jego były nie tyle rozumne i słuszne powody, jak raczéj przesadny pessymizm a może nawet niechęć osobista. Skoro tylko akademia ukonstytuje się i wybierze członków zamiejscowych, przycichną niezawodnie wszyscy malkontenci, bez których nie obejdzie się u nas przy żadnéj sprawie nieco żywiéj ogół zajmującéj.

W Krakowie wyszło dzieło dr. Romana Pilata docenta historji literatury polskiéj przy uniwersytecie lwowskim p. t. *O literaturze politycznéj sejmu czteroletniego* (1788—1792). Nie przypominamy sobie, by w ostatnich czasach pojawiło się dzieło, któreby rywalizować mogło z powyższem pod względem obfitości treści, sumiennéj gruntowności, i starannego opracowania. Jest to pierwsza praca młodego autora, ale napisaną została po kilkoletnich niezmordowanych studjach i długiem obmyślaniu całego planu i materjału. Autor nie pominął w niéj niczego, co tylko z téj epoki wyszukać mógł w tutejszych i niektórych zamiejscowych bibliotekach, a w opracowaniu połączył szczegółową dokładność z metodą systematycznych kombinacji. Praca ta przynosi zaszczyt w pierwszym rzędzie autorowi a w drugim pokoleniu młodych profesorów uniwersyteckich, o których w ostatnich czasach rozpowszechniać się zaczęła nie bardzo pochlebna opinia. Mianowicie zarzucano młodym profesorom, że zdobyli sobie katedry tylko dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności, gdy po zaprowadzeniu języka polskiego w wykładach uniwersyteckich, na razie niepodobna było obsadzić katedry wytrawnemi siłami naukowemi. Daléj zarzucano młodym docentom, że uzyskawszy w ten sposób katedry, nie starają się dodatkowo przynajmniéj wykazać pracami naukowemi, że godni są stanowiska jakie zajęli. Oba te zarzuty, dzięki Bogu, usunięte zostały całym szeregiem faktów pocieszających. Młodzi profesorowie i docenci wystąpili już z pracami naukowemi, które upoważniają krytykę do wróżenia autorom świetnéj przyszłości, a nauce znakomitych rezultatów. I tak wspomnimy tu tylko o całym szeregu życzliwie przyjętych ekonomicznych prac dr. Leona Bilińskiego i dr. Tadeusza Pilata, o dziele dr. Romana Pilata i kilku znakomitych rozprawach filozoficznych krakowskiego docenta filozofii prawa dr. Gustawa Roszkowskiego. Niektórzy młodzi profesorowie ustalili już sobie nawet piękną reputację w świecie naukowym, jak np. dr. Mieczysław Bochenek z Krakowa, a dr. Ksawery Liske i dr. Ferdynand Źródłowski ze Lwowa. Przed kilku miesiącami habilitował się we Lwowie dr. Wincenty Zakrzewski, któremu nadawały już prawo do katedry dawniejsze cenne prace historyczne.

W teatrze lwowskim mamy obecnie sezon występów gościnnych i oczywiście znakomity przytem repertoar. Występowali dotąd słynna śpiewaczka p. Friderici-Jakowicka i p. Rapacki, a obecnie przyjechała do Lwowa p. Helena Modrzejewska. Chętnie jednakże zgodzilibyśmy się na mniéj świetny repertoar i mniejszą ilość występów, byle tylko dyrekcja swarami zakulisowemi nie dawała formalnego zgorszenia i nie psuła skandalami całéj zabawy publiczności. Do jakich rozmiarów dochodzą te swary zakulisowe, o tem w Warszawie nikt nawet wyobrażenia nie ma. Doczekaliśmy się np. tego, że jeden dyrektor śpiewa na scenie kuplety, w których szkaluje swego kolegę a przytem i kuzyna, że artysta lub artystka chcąc dokuczyć dyrekcji albo reżyserowi, umyślnie źle i tem psuje całą zabawę!

*Br. Ł.*

# OD REDAKCJI.

**Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie i w drugiem półroczu r. b. pod temi samemi warunkami.

Prenumerata pozostaje ta sama, a mianowicie kwartalnie w Warszawie rs: 1 kop. 50.

Na prowincji z opłatą pocztową:

kwartalnie Rs. 2.

półrocznie Rs. 4.

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać **wcześnie wprost do Redakcji** pod adresem J. K. Gregorowicza, Ulica Żabia N. 956.

## Przyjaciel Dzieci

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE dla dzieci od 5 do 14 lat wieku również w półroczu drugiem r. b. wychodzić będzie. Prenumerata nadzwyczaj niska pozostaje ta sama.

Kwartalnie w Warszawie kop. . . . . 75.

Na prowincji i w Cesarstwie z opłatą pocztową kwartalnie rs. . . . 1

półrocznie „ . . . 2

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać pod tym samym adresem, jak na Tygodnik Mód i Powieści.

## Opis ryciny kolorowéj.

*Fig. 1. Ubranie wizytowe.* Suknia długa, tunika stanik pod szyję i karoczek z brązowego jedwabnego rypsu, przybrane są aksamitem ciemno brązowego koloru. Mankiety i kołnierzyk stojący, haftowane atłaskiem i koronką obszyte. Brosza koralowa. Na głowie alzacka pąsowa kokarda.

*Fig. 2. Domowe ubranie.* Strój ten gustowny składa się ze spódnicy nie sięgającéj ziemi, z lustrowanego białego fil de chevre przybranéj u dołu skośną riuszą układaną w kontrafałdy i z vêtement podpinanego z tyłu i na bokach, odszytego z niebieskiéj materji Pompadour w rzut kolorowy. Garnirunek vêtement stanowi riusza z takiéj że materji układana jak przy spódnicy. Chusteczka i rękawki szerokie z muślinu i koronki. Na głowie przepaska, z kokardą.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina kolorowa.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

**Dodatek.**

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 26 r. 1872.

# ALBINA.

## STUDJUM POWIEŚCIOWE,

Z NOTATEK AUTORA

UŁOŻYŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

---

(Dalszy ciąg.)

Panna na rautach wielkopostnych oblicza starannie, co może się mieścić w ufryzowanéj głowie kawalera, a kawaler oblicza czynny stan fortuny ukochanéj w karnawale istoty!...

Otóż rauty wielkopostne mają niemałe szkopuły. Tu po większéj części rozrywa się to, co w karnawale tak ogniście z sobą walcowało—bo każde rozpamiętywanie przydłuższe szkodzi nadzwyczaj wszystkim projektom matrymonialnym, gdy panna mimowolnie przekona się o pustkach.... w ufryzowanéj głowie, a kawaler o .... przeludnieniu hypoteki!

Wszystkie wielkie rzeczy poczynają się i kończą w szale—powiedział jakiś znakomity człowiek, to też ta miłość najpewniejsza, która kończy się ślubem w ostatnich dniach karnawału!...

Czasami jednak rauty wielkopostne umieją ten szał karnawałowy pod inną formą aż do dni bożego grobu przeciągnąć, a wtedy rezultatem takich rautów jest zazwyczaj plon bardzo obfity.

Takie rauty właśnie teraz miała stolica.

W pierwszych dniach wielkopostnych przyjechała do stolicy pani Kalikstowa *** i postanowiła pewną część mieszkańców co się zowie, rozbawić. Pan Kalikst, szpakowaty jegomość, został na wsi.

Gdy się dowiedziano, że pani Kalixtowa urządza na Nowym-Świecie okazałe salony, zaczęto nicować śmiałą przedsiębierczynię, mówić wiele o jéj przeszłości, o pochodzeniu, o historji majątku i t. p. defektach ludzkich.

I nim jeszcze służba posadzkę w salonach na czysto wytarła, nie było już na pani Kalikstowéj ani jednéj nitki całéj, którejby w strzępki nie poszarpano!

Pani Kalikstowa wiedziała o tem, ale odwagi nie straciła. Służba wytarła posadzki należycie, a gdy wszystko było gotowe, otworzyły się salony.

Pierwsze rauty wypadły nie najlepiéj. Z zaproszonych mała liczba stawiła się. Wszyscy rozeszli się przed północą, mimo to opowiadał każdy dla uratowania swego honoru, że bawiono się do czwartéj! Przytem nieszczędzono pochwał dowcipnéj gospodyni, meblom wykwintnym i wybornéj wieczerzy.

Na drugi raut poszło wielu „tylko z ciekawości". Trzeci raut miał jeszcze więcéj ciekawych, a za dwa tygodnie nabite były salony pani Kalikstowéj.

Pani Kalixtowa umiała ludzi rozbawić. Darowano jéj wszystko, przeszłość, pochodzenie i historję majątku i uważano ją za szczyt wszystkiego, co dobre, piękne i wspaniałe!

Była to nader sprytna kobieta. Umiała urozmaicić swoje wieczorki, a nawet w pewnych dniach, dla oryginalności, naśladując pewną cesarzowę europejską, urządzała tak zwane wieczory mężatek.

Z tych wieczorków rozwijały się różne ciekawe rzeczy, które im więcéj oddalały się od źródła, tem mniéj były wyraźne i zrozumiałe.

Złośliwi opowiadali, że te wieczorki poświęcone były badaniom praw uzurpowanych przez brzydszą połowę społeczeństwa. Równocześnie rozbierano projekta równouprawnienia piękniejszéj połowy z brzydszą we wszystkiem tak co do praw chleba i rozumu, jako też co do cnót i grzechów.

Równocześnie z podobnemi wieściami rozeszła się wieść po stolicy, że bohaterka owego mniemanego pojedynku występuje w nowéj roli i tym razem już otwarcie zaczyna walczyć z przesądem—ślubów!

Dodawano do tego różne komentarze, które te walkę wywołały i znowu te same osoby weszły do tego na nowo zawiązującego się dramatu, czy raczéj drugiego aktu.

### XXI.

Właśnie siedziałem przy oknie i przypatrywałem się jak śnieg kwietniowy przykrywał starannie przed chwilą pozamiatane chodniki—gdy do mnie wszedł pan Awit, cały w potach i kolorach niezwykłych.

— Przepraszam bardzo, że tak rano przychodzę, rzekł do mnie zaraz na wstępie, ocierając czoło i łysinę czerwonym fularem, ale panna Aspazja tyle dobrych rzeczy naopowiadała mi o panu, że nareszcie odważyłem się w smutku moim, żądać od pana pomocy!

— Pomocy? powtórzyłem z zadziwieniem.

— Tak jest pomocy i zaraz panu rzecz wyjaśnię.

— Słucham pana.

— Zapewne wiesz pan o mojem zmartwieniu, bo rzecz stała się już publiczną.

— Wieści publiczne najczęściej mijają się z prawdą.

— Tym razem — nie panie! Zaręczam panu, wszystko prawda co do joty!... Dawniéj, jak to o tym pojedynku bajano, to był fałsz wierutny!... Sam pan przecież byłeś z nami na tym obiedzie! Czyż to możliwe, aby całujący się tam ludzie strzelali przed chwilą do siebie? Nie, tego już za wiele było! Są w mieście próżniacy, którzy nic nie mają do robienia tylko anegdotki komponują i przylepiają je do ludzi najgodniejszych!. Czy pan zgadzasz się ze mną?

— Zgadzam się pod pewnym względem.

— To mnie bardzo cieszy! Jestem pewny, że i w innych rzeczach pan się ze mną zgodzisz.

— Naprzykład?

— Naprzykład, że każda poczciwa i rozumna żona nie powinna nigdy głośnego skandalu robić!

— Czy taki skandał komu zagraża?

— Mnie panie, mnie samemu! Jak pana szanuję, mnie, grozi tak skandal, publiczny, jak mnie pan tu widzisz!

— To rzecz fatalna!

— I jeszcze jak fatalna, bo widzisz pan jeżeli człowiek ma w domu jakiego robaka, to z tem się nie chwali, nie gada i jakoś to jest!... Jeżeli nawet ludzie coś obaczą, coś wyszpiegują i o tém mówić zaczną, to jeszcze pół biedy, jeżeli człowiek może powiedzieć, że to nieprawda, że wierutne kłamstwo. Zkąd bowiem dowód, że nie kłamstwo? Prawda, czy mam słuszność czy nie? Czy zgadzasz się pan ze mną?

— Tak... pod pewnym względem.

— Otóż już się rozumiemy!... Pies szczeka w lesie, a wiatr niesie! Niech sobie tam ludzie gadają zdrowi, bo już ci od tego są, aby o czemś gadali. Będą gadać i przestaną gadać, jak przestali o pani Kalikstowéj. Bo jeśli kto się sam nie przyznaje, tego w końcu zasądzić nie można!... Czy się pan zgadzasz na to?

— Jeszcze dobrze całéj sprawy nie pojmuję.

— Zaraz, zaraz—wszystko będzie, tylko w porządku! Ale pozwól mi pan trochę się wysapać! Strasznie gorąco u pana. Cały topnieję.

Znowu czerwony fular obszedł całą głowę pana Awita.

Po chwili zaczął pan Awit:

— Pan to bardzo ładnie w jednéj książce napisałeś, że na horyzoncie małżeństwa mogą być czasem małe chmurki!... bardzo ładnie i trafnie. Tak, jakby z życia wzięte... „Na horyzoncie małżeństwa mogą być czasem małe chmurki!.." Cudownie, genialnie! Nigdy nie zdarzyło mi się jeszcze coś trafniejszego przeczytać. Zanotowałem to sobie zaraz!....

— Są to wyrazy dosyć niewinne!

— Nie panie! Jak cię kocham! Ja nikomu nie mówię komplementów, jestem mospanie weredyk dawnéj daty—ale co do tego horyzontu i tych małych chmurek, to nie każdemu uda się coś tak głęboko pomyślanego, a tak prawdziwego powiedzieć.

— Do czegóż więc pan ten horyzont i te chmurki stosujesz?

— Do nikogo! Broń Boże—tylko do siebie. Jak cię kocham do siebie. Ja tam o drugich dziś mówić nie lubię, chociaż mnie ludzie nie szczędzą!

— Nie wiem jednak dotąd o co właściwie panu chodzi?

— „Na horyzoncie małżeństwa mogą być czasem małe chmurki".... otóż i u mnie wysunęła się czarna chmurka, ale to wszystko byłoby niczem, gdyby nie żona.

— Gdyby nie żona?

— Tak jest. Przecież różnie bywa na świecie. Ideały poetów są wierutne głupstwa a człowiek powinien być kontent, jeżli jako tako egzystuje na świecie i ma humor potemu, aby wista lub bezika zagrać. Wprawdzie kobieta każda inaczéj o tém myśli, ale my co to znamy kobiety, przymrużymy czasem jedno oko lub zatkamy ucho i jakoś to ujdzie! Czy zgadzasz się pan na to?

Byłem już zniecierpliwiony do żywego. Rzekłem otwarcie do pana Awita:

— Pan mówisz pod figurami, a ja dotąd nic a nic nie rozumiem. Chciéj pan jasno powiedzieć, o co właściwie panu chodzi.

— Mnie chodzi poprostu o to, aby żona moja odemnie nieodchodziła i niestarała się publicznie o separację.

— Nie pojmuję jakim sposobem ja temu zaradzić mogę!

— Bo nie dasz mi pan porządkiem mówić!... Widzisz pan, żona moja to najlepsza pod słońcem kobieta! Łagodna jak baranek, do rany przyłożyć.... A co to za serce złote!.. Radzę każdemu takiéj kobiety.... Tymczasem, wiesz pan, jak to sam powiedziałeś, że na horyzoncie małżeństwa są małe chmurki, otóż i Kamilla jednę z takich chmu-

rek ujrzała i powiada, że ze mną nadal mieszkać nie może!

— Jakiejże natury ta czarna chmurka?

— Et! ludzie mówią o tem rozmaicie, ale nie warto tego powtarzać. Bo powiadam panu żeby to wszystko i prawda było, czyż nie lepiéj trzymać to w domu w ukryciu niżeli biegać po sądach i księżach i wołać o separację!... Wiem, że kobiety mają różne chimery, czyż nie można przeczekać w domu męża, aż ta chimera minie? Czy zgadzasz się pan na to?

— W takim razie za jedną „chimerą" następuje druga.

— Dobrze! Niechby druga i trzecia, przecież kiedyś to się skończy! I na cóż tu zaraz robić tyle hałasu? Prędzéj ja miałbym prawo hałasować, a jednak o separacji ani o rozwodzie nie wspominam, bo na cóż robić skandal publiczny!...

— Zaprawdę! Trudno aby kobieta znalazła wyrozumialszego męża!

— Czy nie prawda? Ja to Kamilli sam powiadam! Ale cóż! Ona temu nie wierzy!

— Pan wspomniałeś, że żądasz odemnie pomocy.

— Tak jest—pan mi jéj nie odmówisz, jak mi powiedziała panna Aspazja! To złota kobieta!

— W czemże ma zależyć pomoc moja?

— Tak rzecz ułożyliśmy. Trzeba aby ona wiedziała, co o jéj projektach mówi opinia publiczna!... Panna Aspazja zaprosi ją dzisiaj wraz z panią Albiną, która jéj separację odradza.

— Pani Albina jéj odradza separację?

— Tak jest.... Otóż ona tam będzie dzisiaj u panny Aspazji... Pan tam niby przypadkiem przyjdziesz, (prosiła o to pana Aspazja) i wmieszasz się w rozmowę jako człowiek stojący z opinją publiczną w najbliższych stosunkach, i powiesz jéj otwarcie, co ludzie na mieście o tém mówią i co nawet kurjerki w téj materji pisać postanowiły.

— Pan żądasz odemnie nie mojéj roli.

— Ależ kochany panie—znają sąsiedzi jak kto siedzi!.. Pan przecież z tymi wszystkimi redaktorami....

— To wcale nie ma nic do rzeczy!

— Ma do rzeczy bardzo wiele. Jeśli jéj pan otwarcie i bez bawełny powiesz, że krok podobny tak a nieinaczéj sądzi opinia publiczna, to może ona się zawaha!

Pozycja moja w obec pana Awita była nader trudna. Miałem przed sobą człowieka, który jakkolwiek we wszystkiem chciał się ze mną zgadzać, jednak w niczem się nie zgodził, miał jednak wiarę we mnie niezachwianą, że mu w jego nieszczęściu dopomódz mogę.

Nie widziałem bynajmniéj téj możności z mojéj strony, ale mimo to nie mogłem mu odmówić żądanéj przysługi, chociaż ona trochę dziwnie wyglądała.

Do przyjęcia żądanéj roli przyczyniła się nie mało ciekawość moja. Otwierało się bowiem dla mnie nowe pole do dalszych wniosków, a bramkę do tego pola otwierała i tu niewidoma ręka Aspazji, która w dotychczasowych wędrówkach moich nigdy mnie nie zawiodła.

O oznaczonéj więc godzinie udałem się do Aspazji.

## XXII.

Drzwi do przedpokoju zastałem otwarte, służącego nie było. Wszedłem do „błękitnego salonu".

Błękitny salon Aspazji był dzisiaj bardzo kunsztownie oświetlony. Zdaje się że Aspazja miała wzgląd na usposobienie ludzi, którzy tutaj tego wieczoru zejść się mieli.

Na stole nie było żadnych lamp ani kandelabrów, któreby rażące światło rzucały wprost na twarze roznamiętnione przedmiotem rozmowy. Gospodyni chciała tym twarzom i oczom stworzyć ulubione półświatło, w którem, jak obżałowanym podczas sądu, byłoby im swobodnie i wygodnie.

Jedna lampa wisiała u góry przy samym suficie, a światło z niej musiało przedzierać się przez szkło matowe, przez co nie było mocniejsze od światła księżyca.

W kątach salonu stało kilka okrągłych małych lampionów, które były podobne do bladych trabantów zawieszonego u pułapu księżyca.

Światło takie nadawało dziwny wyraz całemu salonowi. Przestrzenie wydawały się daleko większe, niżeli były w istocie. Meble, obrazy zwierciadła nabierały także przez to oświetlenie jakieś inne kształty.

Towarzystwo w salonie składało się tylko z kilku kobiet. Wzdłuż salonu przechadzała się niespokojnym krokiem Kamilla. Miała suknię z długim ogonem koloru *sang de boeuf*, włosy utrefione do góry *à la Pompadour*, czarne, szerokie brwi jeżyły się groźnie jakby cały świat wyzywały do walki. Płonące jak węgiel czarno oko rzucało błyski niezwykłe, a wydatnie i zgrabnie wykrojone usta popękały spalone jakąś nieustającą gorączką. Co chwila poprawiała na rękach złote bransolety i brzęczała niemi jak lwica skrępowana łańcuchem.

Na fotelu, w wygodnéj pozycji siedziała Albina z swoją blado-różową twarzą zawsze pogodnie uśmiechniętą. Oczy jéj świeciły pięknym, przyjemnym blaskiem, podobne do najpiękniejszéj emalii.

Miała suknię w drobne kratki popielatego koloru, ubraną obficie w koronki. Co chwila poprawiała koronki i draperją sukni i z widocznem upodobaniem patrzała po sobie. Suknia ta była nową niespodzianką ze strony męża i dzisiaj poraz pierwszy miała ją na sobie.

Za nią prawie w półcieniu siedziała owa poważna matrona z czarnym krzyżykiem na piersiach, którą już nieraz u Aspazji widywałem.

Sama gospodyni w jasno zielonéj jak zawsze sukni stała oparta o stół i podniesioną ręką dodawała akcentu słowom swoim, które właśnie kończyła.

Przyjście moje niespodziewane zaniepokoiło trochę towarzystwo. Kobiety spojrzały z jakiemś zapytaniem po sobie. Nawet Aspazja zamieniła to spojrzenie.

— Przepraszam, rzekłem zaraz przy progu, zastałem drzwi bez stróża i wszedłem. Może..!

— Nic może... przerwała Albina porozumiawszy się spojrzeniem z Aspazją i wyprzedzając ją, owszem jesteś pan nam pożądany! Mamy wprawdzie sprawę tutaj *en petit comité*, ale pan tym razem dopomódz możesz!

— I owszem, dodała Aspazja, miło nam mieć między sobą kogoś, któryby nieobecną stronę mógł zastąpić... Nieprawda Kamillo?

— Ja z mego postępowania żadnych tajemnic przed światem nie robię—ozwała się Kamilla stąpając dumnie po salonie — i owszem moją otwartość można mi policzyć za zasługę.

— Przepraszam, odpowiedziałem—*c'est pour moi du greque*! Słowa pań są dla mnie tak ciemne, jak kurytarze piramidy Cheopsa! *Faites lumieres*!

Kamilla zabrzęczała złotemi łańcuchami i rzuciła się na fotel środkowy.

— Wiem bardzo dobrze rzekła do mnie, że i do pana doszła zapewne wiadomość mego postanowienia. Nie mam się z niczem taić przed światem bo to z czembym się taić mogła, jest tylko rezultatem tego, co cały świat widzi!.. Więc proszę o kontynuowanie rozmowy, a pana wybieram nawet na arbitra w spornych zdaniach naszych.

— Przyjmując tak zaszczytny tytuł, odpowiedziałem żartobliwie, uprzedzam panie, że arbiter nic nie odpowiada tylko słucha a czasami zapyta.

— Jak panu będzie najwygodniéj, rzekła Aspazja ze znaczącym uśmiechem.

—Proszę pana, rzekła Kamilla zmarszczywszy czoło, niech mi pan wprzódy na to odpowie czy kobieta ma prawo być szczęśliwą?

— Niezawodnie—ma zawsze prawo do tego szczęścia, które sobie sama, według najlepszego rozumienia wybierze!

— Bardzo dobrze! odpowiedziały wszystkie kobiety.

— Za pozwoleniem—mówiła Kamilla, pan w odpowiedzi używasz kruczków któremi następnie chcesz mnie zwalczyć.

— Świadczę się całem zgromadzeniem!.. Teraz tylko słucham i na nic więcéj nie odpowiadam.

— Kobieta ma serce—mówiła dalej Kamilla— a to serce kobiece potrzebuje coś lub kogoś ukochać, bo bez tego nie masz kobiety.

— Bardo słusznie! zauważyła Aspazja i niespokojnie rzuciła się na krześle.

Albina bawiła się koronkami.

— Jeżeli więc ktoś kobietę z wymarzonych zamków cudownych wyprowadzi na pustynię, piaszczysty step bez żadnéj zieleni bez żadnéj oazy... i tam każe jéj zagrzebać się żywcem w gorące piaski... czyż ta kobieta ma prawo protestować przeciw temu i wyjść z Sahary?..

— Moja Kamillo, rzekła Aspazja, są to piękne frazesy a nic więcej. Kobieta przedewszystkiem lubi deklamację, a nie zważa na to że deklamacja jest wewnątrz pusta! Najprzód chciéj mi wierzyć, że kobieta idąca do Sahary, wie dobrze gdzie idzie. Wie ona, że tam cudownych zamków ani orzeźwiających zieleni nie ma! I pocóż potem narzekać? Po cóż światu się skarżyć?

— Trzeba być samemu w podobnéj sytuacji, aby drugich ocenić! Zdaleka to się inaczéj wydaje!

— Mówmy bez żadnych figur. Gdyś szła za pana Awita, jakież szczęście widziałaś przed sobą?

— Byłam niedoświadczoną, nie znałam życia, myślałam, że to będzie dobrze!

— Bądź szczerą i otwartą. Jest to strasznie zużyty temat, zasłaniać się kobiecie doświadczeniem i młodością. Kobieta choćby piętnastoletnia wie dobrze co wybiera. Miałaś konkurentów młodych przystojnych, nawet i takich którzy ci okazywali że cię kochają... Dla czegoś wybrała pana Awita, który jest trzydzieści lat starszy od ciebie i na kochanka wcale nie wygląda? Wybrałaś jego dostatki, ekwipaże, salon na pierwszem piętrze i służbę w galonach! Wybrałaś lożę pierwszopiętrową w teatrze, rauty, koncerty.. i czegoż chcesz więcéj? Czyż tego wszystkiego nie masz?..

— A ręczę ci Kamillo, dodała Albina bawiąc się koronkami że z pomiędzy dwojga złego co nam ludzie dają, to jeszcze najlepsze! Jest czem życie zapełnić, a to już dobrze! Ideały żyją tylko w książkach.

— Widzisz jak to doskonale umie sformułować Albinka, wtrąciła Aspazja z ironicznym uśmiechem, przystąp do jéj filozofii, a będziesz tak szczęśliwa jak ona! Nieprawdaż Albinko?

— Człowiek nigdy nie może powiedzieć że jest szczęśliwy odpowiedziała Albina, ale ja nie skarżę się. To co mam, wystarcza mi!

— Życie, to obowiązki, same obowiązki! wyrzekła z westchnieniem poważna matrona z krzyżem na piersiach.

— Nie rozumiecie mnie, zawołała żywo Kamilla i zabrzęczała łańcuchami na rękach — albo niechcecie mnie rozumieć. Powiadacie że ja wiedziałam co

wybieram. Być może że wiedziałam. Ale powiedzcie mi kto temu winien, żem tak wybrała?... oto przesądy społeczeństwa i naszego wychowania.

— Społeczeństwa i wychowania?.. Ach to stara śpiewka, nie warto jéj nawet powtarzać!.. Nie gniewaj się... ale tylko zdrożne kobiety uciekają się do tych argumentów jak zły adwokat do kruczków! Społeczeństwo może być źle urządzone, ale zostawia kobiecie zawsze tyle wolnego miejsca w którem może być szczęśliwą.

— To są komunały moralistów które dzisiaj nikogo nie nauczą, zauważyła Kamilla w rozdrażnieniu. społeczeństwo dzisiejsze stworzyło kobietę z łańcuchami na rękach i nogach. Ona nie może zrobić samoistnego kroku, jéj nie wolno nawet ruszyć kajdanami pod klątwą ekskomuniki z towarzystwa... jéj odebrano wszystkie prawa człowiecze, odebrano prawo lepszego zarobku, rozum, wolę, talenta.... wszystko wzięto jéj i zostawiono jéj tylko—urok łez i cierpienia!

Z oczu Kamilli puściły się tutaj rzeczywiście łzy.

Sprawiły one sensację powszechną między kobietami.

— Ależ Kamillo, czy nie możemy spokojnie mówić? wtrąciła Albina.

— Zazdroszczę ci twego spokoju we wszystkiem Albino, odpowiedziała namiętnie Kamilla — ale ja tak apatyczną na wszystko być nie mogę! Ciebie bawią drobne akcessorje życia, ty czujesz się już dostatecznie szczęśliwą, jeżeli uda ci się dobry raut u siebie urządzić o którym mówionoby przez tydzień w stolicy — ubóstwiasz męża, który obsypuje cię codziennie najwyszukańszemi fraszkami, bawi cię konsztownie wymyślanemi karesami które publiczność widzi... ale mnie to wszystko wystarczyć nie może!.. Ja czuję głęboko żem idąc za Awita uczyniła krok zły, chce ten krok czem bądź odpokutować, ale chce po téj pokucie być szczęśliwą, zdobyć sobie takie szczęście, jakie tylko kobieta zdobyć może!.

Poważna matrona z krzyżem na piersiach przeżegnała się i załamała pobożnie ręce.

Kamilla wstała, jakby ją ogień palił, i szybkim krokiem zaczęła chodzić po pokoju.

Aspazja patrzała na mnie i uśmiechała się.

— Kobieta dzisiaj budzi się z niewoli! mówiła daléj chodząc po salonie Kamilla, która w téj chwili wyglądała jak Judyta — kobieta domaga się swoich praw począwszy od Nowego Yorku aż do flegmatycznego Albionu. . to nie jest już głos wołającego na puszczy!. Ona chce, aby jéj to wszystko było wolno co jest wolno mężczyznie!..

— Co też pani mówisz! ozwała się szanowna matrona.

— Wiem, czem w takim razie straszą wojujące — i powiadają, co na to powie opinia publiczna!.. Opinia publiczna to ów wieczny strach zawieszony na ole w konopiach którego głupie wróble mają się lękać... Jużciż tę opinię publiczną trzeba raz przełamać, bo gdy się wiecznie jéj lękać będziemy, to wiecznie będziemy jéj niewolnicami!.

— Zdaje mi się, że po téj deklamacji potrzeba na serjo o czemś pomówić, ozwała się Aspazja — czy chcesz na prawdę Kamillo separować się od męża?

— Poczyniłam już potrzebne kroki do tego!

— Czyś rozważyła wszelkie skutki z tego pochodzące?

— Rozważyłam dobrze!

— Czy wiesz Kamillo, dodała Albina że w takim razie musiałabyś kółko swoich znajomych bardzo ograniczyć!

— To znaczy, że w takim razie wypowiadasz mi Albino swoją przyjaźń?

— Nie, uchowaj Boże, odparła żywo Albina, przyjaźń mogę dla ciebie zawsze zatrzymać.... ale... ale stosunki nasze w takim razie ucierpiałyby na tém!

— Więc i ty Albino chcesz być taką usłużną niewolnicą opinii publicznéj, chociażbyś była przekonaną, że jestem tylko ofiarą głupich przesądów ludzkich?... Nie, widzisz, oto masz dowód, którzy ludzie należą do lepszych czy ci, co śmiało w oczy opinii publicznéj patrzą i jéj się nie boją, czy ci, którzy dla obawy przed nią siedzą cicho z ranami swemi, które grożą gangreną?...

— Ja nie mam żadnych ran! dumnie odpowiedziała Albina.

— Tém gorzéj, że ich nie czujesz, zawołała namiętnie Kamilla i zabrzęczała jak lwica łańcuchami, być może, że je wtedy uczujesz, gdy już będzie za późno!

Słowa te wyrzekła Kamilla z taką namiętnością, żeśmy wszyscy na widok jéj twarzy umilkli.

Kamilla coraz namiętniéj mówiła daléj:

— Ja czuję co mnie boli, i z tem się nie taję. Rozkosznych drgnień mego serca, które mi szczęście upragnione obiecuje, nie poświęcę żadnym względom światowym.... pójdę śmiałym krokiem tam, gdzie mnie serce, gdzie mnie uczucie woła!... Któż w téj drodze może mi naprzeciw stanąć?... Opinia ludzi? Podepczę ją nogami, jak Michał Archanioł depcze szatana na łańcuchu!....

Tu uderzyła roznamiętniona kobieta małą nóżką swoją tak silnie o posadzkę, aż rozstrojony panny Aspazji fortepian głuchym dźwiękiem odpowiedział...

W téj chwili weszli do pokoju nowi, prawdopodobnie tak jak ja, przez Aspazję zamówieni goście: pan Karol, hrabia Adolf i pan Awit.

Pan Awit zaraz na wstępie wziął mnie do framugi okna i z ciekawością zapytał:

— A co? czy co się zrobiło?

— Nie ma żadnéj nadziei! odpowiedziałem.

— Żadnéj nadziei! powtórzył pan Awit i zamyślił się.

Po chwili westchnął i odrzekł:

— Jeśli tak to trzeba wziąć sprawę w swoje ręce. Będzie to wiele, bardzo wiele kosztować.... ale... jestem pewny wygranéj.

— Przygotuj się pan na bardzo namiętne argumenta.

— Wiem, czem podobne argumenta kobiece się kończą, więc od razu zacznę od końca.

Gdy tak we framudze okna z panem Awitem rozmawiałem, zrobił się jakiś szmer w salonie.

Kobiety skupiły się, zaczęły wszystkie na raz mówić, perswadować, ale Kamilla nie dała się ubłagać, powiedziała, że nie przyszła tu na dysputy uczone, że kroku swego mimo dysput nie cofnie.... i wyszła.

Personel dramatu, zostawszy bez bohaterki, posiedział trochę, trochę mówił, trochę poziewał, a wypiwszy w uroczystem skupieniu ducha po dwie filiżanki herbaty—rozszedł się do domu.

## XXIII.

Niektóre kółka towarzyskie stolicy były teraz na serjo zaalarmowane. W kilka dni bowiem po téj pogadance u panny Aspazji, rozeszła się po mieście wiadomość, że pani Kamilla z mężem się rozłączyła.

Dopokąd obiegającym różnym wieściom po prostu zaprzeczyć było można, póty nie zważano wiele w stosunkach towarzyskich na te wieści. Gdy jednak wieści te stały się faktem, który tém samem dowiódł, że wszystko co mówiono, było prawdą— potrzeba było ze względów towarzyskich w obec tego faktu przybrać inną postawę, aby opinii publicznéj za nadto nie wyzywać.

Żalono się powszechnie, że w stolicy ubył jeden dom, w którym raz na tydzień wybornie się bawiono. Pan Awit bowiem został wdowcem słomianym, przyjmował u siebie tylko małe kółko mężczyzn grających wista lub bezika.

Kamilla wyprowadziła się na ulicę Marszałkowską. Tam na pierwszem piętrze nowéj kamienicy urządziła sobie bardzo ładne chociaż skromne co do rozmiarów mieszkanko.

Ponieważ Kamilla majątku swego nie miała, a to co pan Awit mógł jéj dać, nie mogło na wszystkie wydatki wystarczyć, poczęła opinia publiczna starannie szukać wszystkich źródeł ukrytych, z których młoda seperatka mogła czerpać środki utrzymania.

Na pierwszym planie stawiała opinia publiczna hrabiego Adolfa.

Hrabia Adolf wiedział o tych podejrzeniach opinii publicznéj, ale bynajmniéj ich zbijać nie chciał.

Przeciwnie starał się o wszelkie pozory takich podejrzeń, jakby mu o to na serjo chodziło.

Jeżeli Kamilla kiedykolwiek publiczności się okazała, zawsze był hrabia Adolf przy niéj, czy to w teatrze, czy na koncercie, czy na przyjażdzce odkrytym powozem w aleach stolicy.

Ktoby wtedy patrzał na niego, mógłby przysięgnąć, że kocha się w Kamilli albo przynajmniéj w nader ścisłych jest z nią stosunkach.

Jego żółty karykiel z dwoma angielskiemi kasztanami stał codziennie kilka godzin przed mieszkaniem Kamilli, a służący z jego herbem na guzikach robił dla niéj różne sprawunki, kupował bilety i bukiety.

Bliżéj jednak wtajemniczeni w tę sprawę, uśmiechali się na to pozorne ubieganie się o względy pięknéj seperatki, o któréj cała stolica mówiła, i uśmiechem tym ironicznym dawali do zrozumienia, że po za szerokiemi barkami hrabiego kryje się ktoś inny, o którym daléj stojąca publiczność nic nie wie, chociaż niedawno w odbytym pojedynku brał czynny udział.

Domysł ten opierał się i na tém przypuszczeniu, że Kamilla daleko więcéj na życie potrzebowała niżeli mógłby jéj dać hrabia Adolf, który wcale świetnéj fortuny nieposiadał.

Fundusze więc na utrzymanie pięknéj seperatki pochodziły z innego źródła, pochodziły od człowieka, który znaczny miał majątek i mógł takiemi funduszami rozporządzać.

Człowiek ten nigdy nie był widzialny, nigdy nie pojawił się przy Kamilli w miejscach publicznych, snać to uważał za nieprzyzwoitość.

Dla czego zaś hrabia Adolf tę dziwną rolę wziął na siebie, trudno było odgadnąć.

Jedni utrzymywali, że hrabia Adolf robi to wszystko, ot tak sobie dla rozrywki jako znany trzpiot bezmyślny—drudzy, którzy go bliżéj znali, byli tego mniemania, że hrabia nie robi tego lekkomyślnie ale z pewnego wyrachowania.

Był on bowiem tego zdania, że w stolicy jest najpierwszym Lowelasem, a przynajmniéj chciał za takiego uchodzić. Nie chodziło mu więc o rzeczywiste lowelasowskie zwycięztwa, ale o pozór takowych. To był jedyny warunek jego istnienia, a gdyby mu kto mógł odjąć ten warunek, hrabia Adolf przestałby może—żyć! Innego celu życia nie widział i nie miał.

(d. c. n.)

# MARZENIA GILBERTY

OPOWIADANIE

## Amadeusza Acharda.

(Dalszy ciąg.)

— Jesteś na ślizkiej pochyłości, mówiła dalej spokojnie Gilberta, źle bym uczyniła zostawiając cię na niej przez czas dłuższy. Gdym cię ujrzała odjeżdżającego wśród pustych śmiechów z temi kobietami, których obejście tak nowem i tak dziwnem jest dla mnie, nie jedno mi się przypomniało i jaśniej przedstawiło. Zrozumiałam że się znajdujesz w wielkiem niebezpieczeństwie, i że należy ocalić cię, jakimbądź kosztem.

— Więc na siebie bierzesz to zadanie, kuzynko?

— Tak jest.

Roger parsknął głośnym śmiechem. Łzy stanęły w oczach Gilberty, ale nie spuściła wzroku ku ziemi i śmiało, lecz spokojnie, rzekła:

— Źle czynisz Rogerze wyśmiewając się z tego, co mówię szczerze i dla twojego dobra.

— Przebacz mi, droga Gilberto, — ale bo też mam czego się dziwić. Widział kto kiedy mentora twojego wieku i twojej postaci? Nie przeczę temu, że jestem na nie dobrej drodze, a nawet wyznam ci że wiem o tem lepiej niżbyś się mogła spodziewać. Nieraz wściekam się o to na siebie, myśląc o mojej kochanej babce którą już tyle namartwiłem; w duszy tworzę wtedy najpiękniejsze postanowienia, ale trwają one tyle co śniegi marcowe. Za pierwszą lepszą sposobnością, wracam do dawnych nawyknień. Tak się stało ze mną wczoraj, to samo jutro może się ponowić. Cóż tedy na to poradzisz, i na co ci się tem zaprzątać? Dla czegoś się uwzięła mnie ocalić, i w tym celu wtrącasz się do rzeczy, których myśl twoja nie powinna była nigdy dotknąć i które należało mi staranniej przed tobą ukrywać?

Gilberta milczała, nie spuszczając z niego oczu od łez wilgotnych.

— Dla czego znajdujesz się dziś na tem miejscu, od którego radbym odwieść twe stopy, bo mi się ono splamionem wydaje, i czemu mnie tu przywabiłaś?

— Bo cię kocham — odrzekła z cicha.

Wykrzyk zdziwienia zamarł na ustach Rogera.

— Mnie? zawołał głosem stłumionym.

— Tak jest — kocham ciebie, powtórzyła Gilberta na której twarz wystąpiła śmiertelna bladość — i możesz mi uwierzyć, skoro ci to powiadam. Sumienie moje nie sprzeciwia się temu wyznaniu. Sądzę iż uczucie to, od dawna już istniało w głębi mego serca, ale wybuchło ono wczoraj dopiero, w domu babki twojej, w chwili gdy wszedłeś kiedy już nie spodziewałam się ciebie. Jakże mam inaczej nazwać gwałtowne wrażenia których znagła doznałam? Wtedy przejrzałam jasno we własnem sercu, i postanowienie moje było od razu stanowczem. Jutro — powiem mu wszystko — rzekłam sobie.

Twarz Rogera przybrała wyraz szczerego wzruszenia. Wziął ręce Gilberty i pocałował je obie z czystem ale żywem uczuciem.

— Słowa twoje poruszają duszę moją do głębi droga kuzynko, rzekł z dziwnym u niego wyrazem powagi; najlepiej tego dowiedzie otwartość wyznań jakie chcę ci uczynić. Nie pozostawią mi one żadnego prawa do twojego serca, ale sądzę że nie odbiorą mi chociaż twego współczucia. Czy wiesz do kogo się odzywasz i czem jest ów biedny chłopak stojący tu przed tobą? Nic już prawie w nim nie ma zdrowego ani też dobrego. Składały się różne okoliczności na jego zepsucie, może i własna słabość do niego się przyczyniła. Za wcześnie zostałem panem mojej woli Gilberto. Zamęt życia w które się rzuciłem, zachwiał we mnie wszelką moc ducha i wszelką głębszą zasadę. A jednak, czuję że mogłem być innym niż jestem. Dotąd jeszcze nawiedzają mię nieraz dobre chęci i szlachetne popędy, ale wszystko to odbiega niebawem, nie zapuściwszy w duszy korzeni. Darmo już i myśleć o wyrobieniu we mnie nowego człowieka; równie to niepodobnem jak wyprostować drzewo pochylone za młodu od wichru. Gdybyś ty wiedziała Gilberto, czem jest życie moje! Tygodnie i miesiące upływają i nic z nich nie pozostaje. Żyję, jakbym z ręki do ręki piasek przesypywał. I ja miałbym przyjąć ofiarę tych pięknych lat młodzieńczych w które wchodzisz dopiero, ofiarę tego szlachetnego i silnego ducha, tego kochającego i zacnego serca? O nie stokroć nie! Biedna moja Gilberto, powiedz sama czemże byłbym, gdybym to uczynił? Ty która księgi święte czytujesz, czyliż nie pamiętasz owych pobielanych grobów o których wspomina Pismo?...

— Oczerniasz się Rogerze — przerwała mu z żywością Gilberta.

— Wierzaj mi, znam siebie dokładnie.

— A ja, czy ciebie nie znam? Nie przeczę że w tem co mówisz nie jedna prawda się mieści; wszelako odsłaniając mi wiele rzeczy, zataiłeś inne, które do rachunku zaliczyć należy.

— O czemże chcesz mówić, Gilberto?

— Czy przypominasz sobie ową ubogą kobietę, którą zeszłej zimy napotkałeś idącą z dziećmi do miasta? Czy pamiętasz w jaki sposób przyszedłeś je w pomoc?

— Pamiętam to, ale któż by tego samego nie uczynił w podobnym razie?

— Mylisz się w tym względzie, Rogerze. Mało kto byłby zrobił to co ty zrobiłeś, Nie mówię już o tem że oddałeś tej kobiecie wszystkie pieniądze jakie miałeś przy sobie, — to mogło być wynikiem chwilowego wrażenia litości, ale nie poprzestałeś na tem, podałeś ramię owej biedaczce w łachmanach, nie lękając się aby cię idącego z nią spotkano, i to właśnie nad wszelki wyraz mię wzruszyło. Pomyślałam wtedy, że dusza szlachetna w tobie się mieści i że zdrowe ziarno da się od kąkolu odłączyć.

— Jakto? tak prosty uczynek tyle ci się wydał nadzwyczajnym?

— Nie był on tak prostym jak ci się zdaje. Najtrudniej właśnie u ludzi o rzeczy powszednie, o czyny łatwe z pozoru, ale mogące na śmieszność narazić. O wiele mniej ich kosztuje nieraz odwaga, narażająca zuchwale ich życie dla marnego słowa. Wierzaj mi Rogerze, nie jeden co bohatersko zdobywał szańce armatami najeżone, struchlałby gdyby w świetnym salonie biedak w wyszarzanym surducie, zajmujący podrzędną gdzieś posadę, rzucił się w jego objęcia, przypominając mu dawną szkolną przyjaźń.

— Doprawdy? tak sądzisz o ludziach, Gilberto?

— Bądź tego pewnym, Rogerze. Mało zwykle mówiąc, mam czas niejedno uważać. Ale wracam do tego o czem mówiłam. Otóż wiem, że nie na tem poprzestałeś w miłosierdziu twem dla owej biednej rodziny. Wycieńczona niedostatkiem, kobieta zapadła zaraz nazajutrz w ciężką chorobę, twoim kosztem sprowadzono lekarza i żywiono dzieci dopóki matka nie wróciła do zdrowia; twojem też staraniem i mąż i ona znaleźli później robotę zapewniającą im utrzymanie. I powiedz mi też, za czyje pieniądze chodzą teraz starsze ich dzieci do szkoły?

— Jakto? więc wiesz nawet i o tem?

— Wiem o wszystkiem, i dla tego wierzę, że nie chwilowe tylko porywy, ku szlachetniejszym zwracają cię celom. W razie o którym mówię, okazałeś się zdolnym do owej wytrwałości w dobrem, jakiej niesłusznie sobie odmawiasz. Sprawiedliwszą byłam w tym względzie od ciebie oceniając cię jak należy, przemyślając nad sposobami zwrócenia cię ze zdradliwych szlaków których niebezpieczeństwa sam mi nieraz dawałeś przeczuwać — pokochałam cię, sama o tem nie wiedząc. Powiedziałam sobie, że lepiej by ci było poślubić kobietę uczciwą, pełną dobrej woli, oddaną całem sercem swym obowiązkom, wkładającą cały swój rozum w przywiązanie do ciebie, niż wieść dalej to życie gorączkowe i rozrzucone, w którem marnujesz najlepsze twoje lata. Z pewnością w związku podobnym znalazłbyś więcej szczęścia niż ci gadają twoje niedorzeczności, jak je nazywasz, a w każdym razie i to za coś liczyć można, że szczęścia owego nie potrzebowałbyś ukrywać, ale owszem pod jawnym wpływem jego, rozwijały by się coraz bardziej szlachetne zarody w tobie istniejące. Zastanawiając się dłużej nad tem, uwierzyłam że podobną żoną mogłabym ja być dla ciebie. O któż ci powie Rogerze, z jak trwożnym niepokojem badałam siebie w tym razie. Ale w głębi duszy mojej znalazłam siłę woli, zapał i poświęcenie potrzebne do podjęcia owej trudnej pracy, — a zarazem i to przeświadczenie, że ostatnie uderzenie mojego serca należeć będzie do tego, dla którego to serce po raz pierwszy się ozwało. Niedawno temu, we śnie, widziałam cię rozpromienionego szczęściem, oddanego pożytecznym zajęciom, przy boku kobiety zajętej tylko tobą, — a tą kobietą — niby ja byłam!...

— Gilberto!...

— Niech cię nie zastraszają moje wyznania Rogerze, nie sądź że myślę dziś o związku z tobą. Marzenie ma skrzydła do szybkiego lotu; w rzeczywistości, wszystko wolnym krokiem idzie. Potrzeba naprzód aby myśl twoja nawykła do widzenia we mnie przyszłej twojej żony, potem zaś potrzeba abyś stał się mnie godnym...

— W jakiż to sposób rozumiesz? spytał Roger nieco zdziwiony.

— W sposób bardzo prosty. Nie przesadzając własnej wartości, uznaję ją jednak w pewnej mierze. Otóż pomimo wszystkiego co odemnie usłyszałeś, uprzedzam cię Rogerze, że pozostanie ci nie jedno do zrobienia zanim będziesz mógł mię nazwać twoją żoną. Jeśli inne masz przekonanie, mylisz się najzupełniej. Wszakże muszę naprzód uwierzyć że pracujesz nad spełnieniem moich nadziei, nad własnem ocaleniem, bo nie tylko szczęście twoje ale jedyne możliwe ocalenie widzę u kresu drogi, którą ci wskazuję.

— Dziwna zaprawdę z ciebie kobieta, Gilberto.

— Tyle tylko dziwna, że szczera. Nie myśl Rogerze, aby szczerość moja nic mię nie kosztowała; serce bije we mnie jak gdyby pęknąć chciało, głos na ustach zamiera, ale wola milczeć nakazuje. Mam pewność że od tej godziny zależy spokój mojego życia. Możesz je uczynić szczęśliwem, lub też złamać bezpowrotnie. Czyliż odkrywszy tobie w ten sposób głębie mego serca, mogłabym kiedykolwiek oddać rękę innemu?

— Ha, więc i ja niemniej odważnie będę z tobą szczerym, kochana Gilberto. Słuchając ciebie, doznałem wzruszenia nieznanego mi dotąd, wszakże, raz jeszcze ci to powtarzam i na cześć moją dla ciebie zaklinam się, jam nie godzien ciebie i prawdopodobnie nigdy nim nie będę. Widzę z boleścią że wzrok twój ślizga się tylko po powierzchni mojego życia; cóżbyś rzekła zajrzawszy do jego głębi? Pełno tam śmieszności i niedorzeczności wszelkiego rodza-

ju,—a co najgorsza, że mię wszystko to nic a nic nie bawi. Nie łudź się jednak nadzieją mojéj poprawy. Gdybyś nie była tem czem jesteś, Gilberto, uszczęśliwił bym cię może niefortunnym podarunkiem mojéj osoby i szukałbym ocalenia tam, gdzie mi je wskazujesz, ale nie uczynię tego z tobą, która dzieckiem będąc powierzyłaś się mojej opiece, tak jak dzisiaj szlachetności mojéj się powierzasz. Nie dopuszczę się podobnéj podłości, zachowam na zawsze w pamięci to com od ciebie usłyszał, będziesz dla mnie drogą i świętą istotą, znajdziesz we mnie wiernego na całe życie przyjaciela, ale mężem twoim nigdy nie zostanę.

— Będę czekała, odrzekła Gilberta.

Na tem, zakończyła się ich rozmowa. Rozeszli się, każde w swoją stronę. Oddaliwszy się nieco, Roger wyszedł na małe wzgórze zkąd widać było drogę którą odeszła Gilberta, i przez chwil kilka popatrzał na wdzięczną postać młodéj dziewicy, odznaczającą się na bladéj zieloności łanów młodem zbożem pokrytych. Jasne wstążki jej kapelusza powiewały za nią kołysane od wiatru, a biała suknia uwydatniała zgrabną jej kibić i szlachetne ruchy. Oczy Rogera wpatrywały się w nią z upodobaniem, z nagła, prawie mimowolnie, zrobił ruch jakby chciał podbiedz ku niéj, ale zaraz potem się zatrzymał.

— Nie—rzekł do siebie byłby to czyn niegodny.

W téj chwili postać Gilberty znikła po za drzew osłoną.

VII.

Wróciwszy do domu, Gilberta udała się zaraz do pokoju matki.

— Widziałam się przed chwilą z Rogerem, rzekła do niéj, i rozmówiliśmy się z sobą z zupełną otwartością.

— A! więc to on! wyszeptała pani de Villepreux.

Gilberta odpowiedziała skinieniem głowy. Matka dodała:

— Czyż było pomiędzy wami jakie nieporozumienie, żeście potrzebowali z sobą się rozmówić?

Na to zapytanie tak wyraźne, Gilberta odpowiedziała szczerem wyznaniem tego, co zaszło pomiędzy nią i Rogerem.

— Stawiasz życie twoje na bardzo niepewną stawkę, rzekła smutna pani de Villepreux.

— Czyż to ja jedna gram na niepewno, droga matko?

— W każdym razie, żal mi szczerze że odrzucasz pana de Véry; więcéj jeszcze tem się smucę, odkąd wiem żeś nad niego przełożyła Rogera; znając obudwu, wiem że się nie mylę.

— Z panem de Very, droga matko, nie jedna by mię jeszcze mogła czekać niespodzianka. Jest to człowiek chłodny i wyrachowany, który takim się pokazuje jakim chce się wydać. Któż zaś nie chce się wydać lepszym niż jest w istocie? Z Rogerem, nic podobnego przynajmniéj mi nie grozi. Niczego nowego o nim się nie dowiem. Znam go dokładnie jeśli w nim zajdzie jaka zmiana, to chyba na dobre. W przeciwnym razie, zestarzeję się przy tobie droga matko nie zmieniając trybu mego życia, gdyby zaś nadzieje moje zostały spełnione, to i wtedy nie rozstanę się z tobą, tylko on z nami będzie.

— Daj to Boże!

W parę dni potem, Gilberta zobaczywszy się znowu z Rogerem, rozmawiała z nim ze swobodą która go w zdziwienie wprawiała. Szczerość jéj i prostota były dla niego czemś całkiem niepojętem, nawykły mieć do czynienia z kłamliwą przebiegłością, znajdował się tą razą w położeniu człowieka, który wychodząc z ciemnéj pieczary olśnionym się czuje dzienną światłością. Podziwiał Gilbertę, ale się jéj lękał cokolwiek, babka zaś jego odgadłszy w części uczucia młodéj dziewicy, ubóstwiała ją całą duszą. Stopniowo stosunki dwojga młodych ludzi zawsze równie przyjazne i serdeczne ze strony Gilberty, przybrały u Rogera cechę wewnętrznego jakiegoś zakłopotania. Przykrą mu była owa wyższość którą musiał uznawać choć mu się żadnym przymusem nie narzucała, chwilami sprawiała mu ona dotkliwe cierpienie—duma jego czuła się nią upokorzona. Ale nie byłoż to po prostu u Gilberty grą mądrze obliczoną, to zachowanie, tak wyborne równowagi w tyle drażliwem położeniu? Chcąc się o tem przekonać. Roger począł się kręcić koło niektórych młodych paryżanek, przybyłych w odwiedziny w sąsiedztwo. Pewnego wieczoru, na małem zebraniu gdzie młodzież zabawiała się tańcami, Gilberta znalazłszy się na chwilę z nim na uboczu, rzekła mu spokojnie.

— Jakkolwiek wolny jesteś zupełnie i nie mam prawa czynić ci żadnych wymówek, zapytam cię Rogerze dla czego zasmucasz mię nadaremnie? Jeśli bawiąc się w ten sposób chcesz mię wystawić na próbę, czynisz mi obelgę na którą nie zasłużyłam. Nie podobna abyś był w tym razie szczerze zajętym, zaprzestań więc żartu który jakkolwiek mi jest przykrym, zmienić mię względem ciebie nie potrafi. Nie Gilberta przemawia w tej chwili do ciebie, ale twoja kuzynka przypomina ci rady, które jéj przyjaźń tobie dawała.

Mówiła głosem pewnym, ale w jéj oczach dostrzegł że łzy błyszczały. Coś w głębi duszy jego zadrżało.

— Czyż tego nie widzisz, rzekł posępnie, o ile lepszą jesteś odemnie i jak nam daleko do siebie? Gdybym cię gniewną widział lub zadąsaną, owa przestrzeń mniejszą by mi się zdawała... Słabość jakakolwiek u ciebie, błąd jakiś—byłby zbliżeniem... aleś ty zawsze pogodna—a jam taki smutny!

— Dobrą mi to wróżbą.

— Tak sądzisz? Ale do czegóż mię może doprowadzić ów smutek? To po prostu chwilowe wrażenie,—inne niebawem je zastąpią. Znam siebie nadto, abym mógł o tem wątpić. Widzisz,—jam szczery Gilberto — to moja jedyna cnota. Nie przeczę temu, żem cię chciał wystawić na próbę; chmurny wyraz twéj twarzy nie powstrzyma mię od wypowiedzenia prawdy. To co uczyniłem było niegodnem ciebie, wiem o tém równie dobrze jak i ty,—dla czegóż to uczyniłem? Rzecz dziwna—czuję jasno żeś ty mi prawdą i zbawieniem, czuję, że jeśli gdziekolwiek na ziemi istnieje szczęście dla mnie, to tylko przy tobie. Chcę ciebie ubóstwiać, — a tymczasem coś wewnątrz mnie temu się sprzeciwia. Jeśli szukam powodów tego, odkrywam pewną miarę obawy a może i nieukontentowania w czci którą cię otaczam. Ujemne to uczucie pochodzi może z przeświadczenia o mojéj niższości, w każdym razie, czyni mię ono względem ciebie niesprawiedliwym. Czy rozumiesz co chcę powiedzieć Gilberto? Czy zdajesz sobie dokładnie sprawę z tego, co w mojéj duszy dla mnie samego nie jest zrozumiałem?

— Rozumiem cię—tylko nie uznaję owéj tak pochlebnéj dla mnie nierówności jaką pomiędzy nami upatrujesz, a zgadzając się na to nawet, że ona chwilowo istnieć może, czemuż się nie chwycisz jedynego środka któryby ją od razu zniweczył;—czemu się do pracy nie bierzesz?

— Chciałabyś abym sobie obrał jakie zajęcie?

— Ma się rozumieć.

— Zdziwisz się mocno moją odpowiedzią. Oto powiem ci Gilberto, że zdaniem mojem owa zgodna bezczynność w której mam upodobanie, świadczy może o mnie w sposób najkorzystniejszy.

— W istocie, zdanie podobne ma prawo mię zadziwiać.

— Zaraz ci je sprobuję wyjaśnić, zwracając twą uwagę na społeczeństwo wśród którego żyjemy. Każdy w nim goni tylko za zyskiem; podobna robota wstrętną by mi była. Czemże innem mógłbym się zająć? Chcąc zużytkować w sposób bardziéj szlachetny moje zdolności, pragnąc się dobić wyższego stanowiska w celu stania się drugim użytecznym, musiałbym także poszukać dróg, któremi nie radbym nigdy chodzić. Do czegóż dzisiaj dojść można, nie umiejąc zginać karku do prośby i nakręcać umysłu do wykrętnych przebiegów? Tego wszystkiego ja nie umiem i umieć nie chcę; jakkolwiek nie przeceniam własnéj wartości. Znam com winien mojéj godności osobistéj i za nic z niéj nie zrobię ofiary. Cóż na to poradzić? znać nie w porę na świat przyszedłem, ani dworzaninem niczyim, ani dworakiem być nie potrafię. Widząc zamknięty przed sobą zawód życia publicznego, szukałem czemby go można zastąpić. Łatwe zabawy nawinęły mi się naprzód, oddałem im część owego czasu z którym nie wiedziałem co zrobić; dają mi one odurzającą rozrywkę, nie przynosząc jednak ujmy. Na drodze którą idę, nic oprócz młodości nie tracę.

— Zapewne, tylko że postępując daléj tymże szlakiem, stracisz coś więcéj jeszcze, zanim lat kilka upłynie.

Roger machnął ręką niedbale, potem dotknął nią piersi i czoła. Gilberta patrzała na niego ze zdziwieniem.

— Badam siebie, rzekł, aby się dowiedzieć, czy na prawdę mam jeszcze w głowie albo w sercu cośkolwiek, coby warte było czyjegoś zajęcia.

— Przechwalasz się zwątpieniem o sobie, Rogerze, strzeż się podobnego usposobienia, uczy ono wiele sobie przebaczać.

Ruchem nagłym i niemal mimowolnym, wziął ręce Gilberty i z uczuciem je ucałował. Stali oboje we drzwiach wychodzących na ogród, wyprowadził ją na taras i nie puszczając jéj ręki pociągnął zlekka za sobą ku ławeczce oblanéj światłością księżyca. Słodko wzruszona, młoda dziewica szła za nim bez oporu. Gdy usiadła na ławeczce, zwrócił twarz jéj w stronę, zkąd padały jasne promienie nadające jéj wyraz bardziéj jeszcze anielski, i sam przy niéj zajął miejsce,

— Gilberto - droga Gilberto — rzekł z żywem uczuciem, czemuż cię zawsze nie mam przy sobie! Tybyś zapełniła wszelkie we mnie braki, chwiejność moją zamieniłabyś w stanowczość, i w duszę moją zesłałabyś ożywczy promień, którego światło i ciepło musiało by ją oczyścić!

Tobie zawdzięczałbym odrodzenie! Kiedy do mnie przemawiasz, czuję się innym człowiekiem, dźwięki twojego głosu przenikają duszę moją do głębi. Wszystko co tylko mam w sobie dobrego, rwie się ku tobie i na usta cisną mi się słowa, których nie śmiem wymówić, bom je dla innych kobiet wyrzekał nie szczerze, radbym nowe wynaleść, których bym w ten sposób nie zbezcześcił. O, jakże byłbym szczęśliwy gdybym mógł ci powiedzieć: jam ciebie godzien Gilberto, tyś mię przeistoczyła, nowym dziś jestem człowiekiem i kocham ciebie! Ale nie mogę tego zrobić. Uczyniłaś moje sumienie wrażliwszem, czuję że jakkolwiek tajemny węzeł czyni cię panią mojéj duszy, nie jestem dziś ani dość silnym, ani dość zacnym aby do ciebie należeć. Czy się nim stanę kiedy? Sam tego nie wiem, ale bądź co bądź, choćbym się nieraz jeszcze zachwiał, choćbym kiedy nawet upadł, przyrzeknij mi, ty co tak silnie

i tak szlachetnie kochać umiesz, że mię i wtedy—że mię nigdy nie odstąpisz.

Gilberta nie odebrała mu ręki którą trzymał i patrząc w jego oczy, rzekła:

— Przyrzekam ci to, Rogerze.

Odjechawszy z matką do domu po téj rozmowie, uczuła w sercu radość niewysłowioną. Szczęście jéj było tak wielkiem, że niemal upadała pod jego brzemieniem. Dumała słodko, zapatrzona w gwiazdy, kołysana miękkim ruchem powozu. W około, nic nie przerywało ciszy, oprócz lekkiego szmeru liści poruszanych niekiedy łagodnym powiewem błędnego wietrzyka; w duszy Gilberty także wszystko ucichło, w obec jednéj promiennéj myśli, zalewającéj jéj duszę światła powodzią. W téj cudownéj jasności pławiły się jéj marzenia ukochane... Urocze wonie ulatujące z łąk skropionych rosą, z lasów tchnących świeżością nocy, darzyły młodą dziewicę w owéj milczącéj podróży swą niewidzialną pieszczotą. Chciałaby była, aby owa noc świetlana nigdy końca nie miała. Zdziwiona długiem milczeniem córki, pani de Villepreux spojrzała na nią i spostrzegła twarz jéj zalaną łzami.

— Dziecię moje—co ci takiego? zawołała chwytając ją za rękę.

— Jestem szczęśliwa, droga matko, odpowiedziała Gilberta.

Przez dwa dni następne, żyła jakby w upojeniu. Nie napróżno więc zawierzyła wszechmocy swego poświęcenia; przyszłość obiecywała spełnić wszystkie jéj marzenia. Już obecnie Roger słuchał jéj kierunku i domagał się od niéj pomocy, jakże wzruszonym głosem żądał aby go nie opuszczała,—nie byłoż to samo dowodem, że serce jego budziło się do uczucia którego ona doznawała? Już istniał pomiędzy niemi pewien prąd sympatyczny, będący niemylną zapowiednią zupełnéj wzajemności;—niby jutrzenka, zwiastująca jasności dziennéj przybycie.

Nie było śpieszno Gilbercie zobaczyć się znowu z Rogerem. Widziała go myślą, ilekroć przypomniała ostatnią z nim rozmowę; każde jego słowo słyszała wtedy na nowo z właściwym mu dźwiękiem. Przebywając duszą z ukochanym, znajdowała nawet pewien urok w tem chwilowem z nim rozstaniu. Może też tęsknił za nią? Któż to wie? Może dobroczynny posiew coraz silniéj kiełkował. Z tem wszystkiem, po niedługim czasie, Gilberta rada byłaby skorzystać ze sposobności odwiedzenia zamku La Gerboise, choćby dla tego tylko aby się przekonać, o ile jéj przypuszczenia były uzasadnione. Przybywając na miejsce, zastała przed domem starą klucznicę, bardzo jakoś zasmuconą. Wyżeł Rogera, zwykle nieodstępny towarzysz swego pana, nie mniéj posępniéj od niéj powitał Gilbertę, wpatrując się jéj niespokojnie w oczy, jakby coś z nich chciał wyczytać.

— Cóż się tu stało? spytała strwożona.

— Alboż pani nie wie? Młody pan nasz odjechał...

— Jakto? Roger?

— Tak jest, wczoraj wieczorem. Wybrał się jakoś tak niespodzianie...

Ale Gilberta już odbiegła śpiesząc do pani de Varèze.

— Czy to prawda? spytała wchodząc do jéj pokoju.

— Pawda, moje dziecię.

— A kiedyż powróci?

— Może za parę miesięcy, a może za lat parę, wyszeptała staruszka.

Gilberta zbladła jak ściana. Stała nieruchoma, wsparłszy się na poręczy od krzesła. Klucznica która weszła była za nią podchwyciła z żywością:

— Ależ Boże uchowaj! co się też jaśnie pani przywidziało! Oto po prostu pan Roger odebrał z rana list z Paryża i musiał wybrać się śpiesznie dla podpisania jakichś tam papierów. Jak się tylko załatwi z interesami, to i powróci. Za tydzień a najdaléj za dwa, zawita nam tutaj i już na długo zostanie.

Podczas téj pocieszającéj przemowy, twarz pani de Varèze wyrażała bolesne rozdrażnienie. Wyprawiwszy wreszcie pod jakimś pozorem gadatliwą babinę, dała ujście swym uczuciom.

— Chciał mi wmówić że odebrał list od adwokata, rzekła z goryczą. Wiem kim jest ów adwokat i w czyjéj sprawie przemawia. Jest to po prostu młoda wdówka, którą nieszczęście przyniosło tu w sąsiedztwo tego lata. Nie jestem pewna czy miała ona kiedy męża, od razu mi się nie podobała i wymawiam sobie żem ją tu przywieść pozwoliła. Widziałaś ją u mnie na wieczorze... to owa wysoka blondynka cała opylona mączką ryżową, z włosami porozstrząsanemi w około czoła.

— A! pani de Géniae—szepnęła Gilberta.

— Uważyłaś ją, wszak prawda? Podejrzywam że tak samo jak włosy i cera, majątek i imię do którego się przyznaje, nie są jéj własnością. Sądziłam że zalotność jéj nie potrafi wyprowadzić w pole Rogera, dosyć oswojonego z podobnemi sztuczkami. Tymczasem, dał się złapać jak student. W istocie, odebrał jakiś list niby z Paryża, ale wypadło to właśnie, w chwili kiedy owa awanturnica wyjeżdżała do wód Pirenejskich. W parę godzin, już był gotów do drogi i puścił się niezawodnie za ową jejmością. Otóż widzisz dziecię moje, początek podobnych podróży bywa wiadomy, ale końca ich nikt nie może odgadnąć.

Mówiąc to, pani de Varèze trzymała wzrok utkwiony w Gilbercie. Widziała ją opierającą się coraz mocniéj na poręczy krzesła przy którem stała, jak gdyby coraz więcéj od niéj potrzebowała podpory. Staruszka podniosła się z miejsca i podszedłszy ku niéj uściskała ją czule.

— Takto marnują nieraz ludzie szczęście po które tylko dość im sięgnąć ręką, rzekła smutno.

Potem, gładząc ręką czoło Gilberty ku niéj pochylone, dodała.

— Cóż teraz zamierzasz robić?

— Kochać go—kochać aż do końca, odrzekła Gilberta wybuchając płaczem.

Kiedy powróciła do domu twarz jéj nosiła ślady wewnętrznego wzburzenia, którego nie była w stanie pokonać. Nie czekając zapytań matki opowiedziała jéj wszystko. Czoło pani de Villepreux posępnie się zachmurzyło.

— Żal mi ciebie drogie dziecię, rzekła, ale nie ma dla mnie niespodzianki w tem co zaszło. Czy chcesz żebym pozwoliła tu bywać panu de Very.

Gilberta potrząsła stanowczo głową na znak odmowy, i wyznała matce, jaką obietnicę uczyniła Rogerowi.

— Związałaś się przyrzeczeniem które ciebie jedną obowiązuje, rzekła pani de Villepreux. Szlachetne masz serce, droga Gilberto, tem łatwiéj w nie zdołają ciosy nieszczęścia ugodzić.

Potem przyciągając ją ku sobie i gładząc czule ręką jedwabne sploty jéj włosów, dodała smutno.

— Wszystkie nadzieje twoje związałaś z sercem mężczyzny,—na ruchoméj wydmie gmach szczęścia twego zbudowałaś, Gilberto.

VIII.

Upływały tygodnie i miesiące przynosząc od Rogera rzadkie tylko i krótkie listy, w których nie wspominał nigdy o powrocie. Gilberta widywała bardzo często panią de Varèze, która coraz bardziéj się do niéj przywiązywała. Nic w obejściu, ani w trybie życia młodéj dziewicy, nie zdradzało cierpienia które w duszy jéj tkwiło, zawsze równie pogodna, czynna i spokojna, nie zmieniła się w niczem z pozoru. Czasem tylko, gdy wśród jakiego zajęcia niepozbyte przypomnienie silniéj ją owładnęło, przez chwilę pozostawała nieruchoma wypuściwszy z rąk robotę, ze wzrokiem w ziemię spuszczonym, zatopiona w smutnych rozmyślaniach, dopóki dźwięk głosu matki lub wysiłek własnéj woli, nie zbudził jéj z owego wewnętrznego zapatrzenia się w obrazy przeszłości.

Ku końcowi lata, sprawa jakaś tocząca się od śmierci ojca Gilberty i dotąd nie rozstrzygnięta, uczyniła niezbędną obecność pani de Villepreux w Paryżu na czas jakiś. Wybrała się tam zatem z córką.

Na samym wstępie napotkała w stolicy krewnego oddawna w niéj zamieszkałego, człowieka w pewnym już wieku, korzystającego ze swobody stanowiska starego kawalera dla uprzyjemniania sobie życia o ile go tylko stać na to było. Wesołość jego i ożywienie czyniły go w towarzystwie bardzo przyjemnym. Z pozoru zdawał się a nawet i usiłował przedstawiać się całkiem oddanym zabawie, w istocie jednak, posiadał gruntowne zalety, których dawał nieraz dowody w stosunkach z rodziną i z przyjaciołmi. Za przybyciem pani de Villepreux i Gilberty do Paryża, pan de Porny oddał się całkiem na ich rozkazy, a poznawszy się bliżéj z niemi został niebawem szczerym ich przyjacielem i nieraz bardzo użytecznym doradcą.

Po pewnym czasie, stosunki te stały się dosyć bliskiemi aby pan de Porny mógł się dowiedzieć od matki Gilberty o tajonym cierpieniu, nurtującem tem bardziéj duszę młodéj dziewicy, że nic z niego na zewnątrz nie przebijało.

— Stan ten przechodzi u niéj w rodzaj choroby umysłowéj, dodała pani de Villepreux, trwożę się nim przewidując że wreszcie nieustanna owa walka wyczerpie jéj siły.

— Ile ma lat moja kuzynka? spytał pan de Porny.

— Jest już pełnoletnią-odpowiedziała matka.

Paryżanin zastanowił się nieco.

— Ha! sprobujmy jednak światowych rozrywek,—rzekł po chwili.

Tego samego wieczoru, przyniósł swym kuzynkom bilety do Wielkiéj Opery. W ciągu dni następnych wynajdował dla Gilberty coraz nowe zajęcia i przyjemności, dobierając je ze staraniem zdradzającem szczerą i rozumną troskliwość. Często, jeździli razem konno po lasku Bulońskim i wtedy toczyły się między niemi długie rozmowy, coraz bardziéj poufne i przyjazne.

Wesoły uśmiech powrócił był na usta Gilberty. Kuzyn jéj pysznił się tem niby lekarz dźwigający pacjenta z niebezpiecznéj choroby. Z dniem każdym przywiązywał się bardziéj do téj wdzięcznéj istoty, znoszącéj tak odważnie boleść, którą nie dzieliła się z nikim. Pewnego wieczoru, podawszy rękę Gilbercie wsiadającéj do powozu matki po konnéj przejażdżce spostrzegł na ziemi po jéj odjeździe różę która wypadła była z pod jéj paska. Podniósł ją żywo i do ust zbliżył—ale zaraz potem zdziwił się sam temu. Popatrzał zamyślony na kwiat który w ręku trzymał, potem wsiadłszy znowu na konia, puścił się szybkim kłusem w głąb parku. Po pewnym czasie jakby opamiętawszy się potrząsł głowę i rzekł do siebie.

— Nie—toby nadto niedorzecznem było.

To rzekłszy, ruszył ramionami i spiąwszy konia ostrogą galopem puścił się ku domowi.

(d. c. n.)

# FAYUM, SINAÏ I PETRA

PODRÓŻ

## DO ŚRODKOWEGO EGIPTU I ARABJI

SKALISTÉJ

ODBYTA PRZEZ

**SŁYNNEGO ARTYSTĘ MALARZA GÉROME**

ORAZ

JEGO TOWARZYSZY I UCZNIÓW

STRESZCZONA

przez **Joannę Belejowską**.

(Dalszy ciąg).

Dalhur, leży w dolinie znacznie niższej od całej pustyni, i dla tego więcej od innych wiosek narażona jest na wylewy Nilu—dla ochrony cała jest zbudowana i jakby zawieszona na różnych wałach i wyniesieniach z ziemi. Tym sposobem w czasie wylewów zamienia się w wyspę, lecz inne niebezpieczeństwo nie grozi mieszkańcom. Dzięki ślicznym palmom rosnącym na poprzecznych wałach podtrzymujących te ziemne mieszkania, cała wioska wygląda jak wielki bukiet zieleni, z pośród którego wyłamują się dwa zgrabne meczety. Jest to jakby zaczarowane, całkiem od świata odosobnione państewko. Tu po raz pierwszy spotkaliśmy samowładną radę municypalną, której przewodniczy *szeik*, najzupełniéj przekonany o swojem wszechwładztwie. Podobne wioski których organizacja administracjina jest bardzo prosta, opłacają wprawdzie niekiedy zbyt wygórowany haracz rządowi lub paszy, lecz pod każdym innym względem są najzupełniéj niezależne; cała wieś tworzy jakby jedną rodzinę, podlegającą szeikowi którego władza jest nieograniczona. Dostojeństwo to nie przechodzi z ojca na syna, ale jest zawsze przywilejem najstarszego z rodziny.

Zostaliśmy przyjęci bardzo uprzejmie, szeik przysłał nam na noc straż honorową, która w rzeczywistości jest zupełnie niepotrzebną, ale zwyczaj tak nakazuje, gdyż w razie gdyby podróżni zostali napadnięci, cała wieś byłaby odpowiedzialną. W każdym razie jest powód żądania *bakszis* na pożegnanie.

Jednak ta warta honorowa nadawała nam w oczach mieszkańców jakiś urzędowy charakter, gromadzili się tłumnie około naszych namiotów, przypatrując się jakby exemplarzom niezwykłych zwierząt. Przyglądali się bacznie naszéj installacji pod gołem niebem, naszym przyrządom kuchennym i zastawionym potrawom, patrząc z podziwieniem na dzikich z Zachodu, zajadających jakieś nieznane jadło i bezczelnie zapijających wino pod nosem samego Mahometa.

Szczególniéj dzieci i kobiety bardzo się nami zajmowały, przypominam sobie jak liczne ich grono mnie otoczyło, gdym się zabrał do zdjęcia ślicznego krajobrazu. Całe godziny milcząc obserwowali każdy mój ruch, podziwiając szczególniej pudełko z farbami. Przez żart porobiłem im na palcach różnokolorowe gzygzaki, jedni bardzo się radowali, inni uciekali z największym strachem, jak gdybym im rzucił urok. Niektórym znów kobietom pomalowałem na dzbankach błękitem pruskim różne europejskie hieroglify, które im się bardzo podobały—i nie podobna mi było zadość uczynić zbyt licznym obstalunkom.

Pożegnawszy szeika, nazajutrz o szóstéj rano w dalszą puściliśmy się podróż—dodano nam dwóch przewodników, gdyż teraz chcąc dostać się do głębi środkowego Egiptu, musieliśmy zapuścić się w prawdziwą pustynię.

### V.

Przebywszy z kolei niezliczoną ilość kanałów i sadzawek, doszliśmy krańców ziemi uprawnej i wkroczyliśmy w piaski pustyni. Postanowiliśmy tegoż jeszcze dnia dostać się na nocleg do wsi *Tamych*, leżącéj w samym środku prowincji Fayum;—trudne to było zadanie, a nadto, w rachubę naszą nie wchodził uragan piasku który nas zaskoczył wpośród pustyni właśnie gdyśmy się zabierali do śniadania.

Było to w samo południe—rozstawiono wszystkie przybory, wydobyto zapasy żywności przeznaczone na śniadanie, i już oczami pożeraliśmy wszystkie zimne przysmaki, a palce chciwie chwytały widelce, gdy nagle, jak blask błyskawicy, spadła na nas prawdziwa trąba piasku. Piaszczyste wzgórze u stóp któregośmy się usadowili, obsuwało się widocznie pod działaniem burzy, i jak rozszalały potok ogarniało wszystko, pożywienie i pożywających. Tumany piasku zrywały się z ziemi, zasypywały nam twarze, zasłaniały oczy. Butelki, zastawa, pieczyste, wszystko to skryło się pod nalecialym piaskiem: musieliśmy odgrzebywać je i czuwać nieustannie, aby razem z nami nie znikły bez śladu w otchłaniach piasku. Arabowie pomogli nam ratować śniadanie, następnie pokładli się w piasku, chroniąc się tym sposobem od uderzeń ostrego wichru, który jak biczem smagał nas po twarzy.

Jeszcze przed tym piaszczystym uraganem temperatura zmieniła się nagle, dokuczliwy upał przemienił się w lodowate zimno, jak zimne i gorące prądy spotykające się na wodach mórz i rzek, tak i tu warstwa zimnego powietrza zdawała się spadać z jakichś niebieskich lodników. Biedne nasze osły okropnie cierpiały, męczyły ich jakby ataki konwulsyjne: przewracały się, tarzały, usiłując wydobyć się z przygniatającego je piasku, krew tryskała im nozdrzami i oczami, łącznie z Arabami pomagaliśmy im wydobyć się na wierzch i uprowadziliśmy je daléj. Drogmani nasi przyznawali, żeśmy straszny i bardzo niebezpieczny dzień przebyli — trzeba było myśleć o wyratowaniu się z téj biedy. Najpierw odszukaliśmy znaczną część naszych przyrządów, poczem zamierzyliśmy przedostać się dalej. Głowy i twarze poowijaliśmy starannie, ale piasek przedzierał się przez te zasłony i bił tak silnie w twarz i w oczy, iż cała skóra była mocno podrażnioną. Po upływie dwóch godzin straszny ten *khanisinn* złagodniał nieco, co dozwoliło nam myśleć o dalszéj podróży.

Złudzony wzrok okazywał nam nieskończone szeregi drzew palmowych, w kierunku zupełnie przeciwnym niż droga którąśmy postępowali—zaniepokoiliśmy się mocno, ale Arabowie których oczy nawykły odróżniać złudzenia pustyni, wskazali nam gdzie ujrzemy prawdziwe drzewa—było to o całe dwa kilometry dalej niż mi się zdawało, że je dostrzegam. Te dwa zielone punkciki wyłaniające się gdzieś w oddali w pośród tego bezgranicznego oceanu piasku, zrobiły na mnie wrażenie jakbym ujrzał ziemię obiecaną, wszyscy mieliśmy chęć wołać: Ziemia! ziemia!..

Doszedłszy do tych zbawczych drzew, zatrzymaliśmy się chwilę dla wypoczynku i przedrzymawszy się trochę w dalszą puściliśmy się drogę. Grunt zaczął się zmieniać, był teraz daleko twardszy, zatrzymywał ślady kroków ludzkich i wielbłądów; i nasze wielbłądy szły teraz pewniejszym krokiem, czuły grunt skalisty pod pokrywającym go piaskiem. Przybyliśmy nareszcie do Tamych, dość duża ta wioska leży po nad ogromnym parowem, mającym przeszło sto metrów szerokości. Naturalny ten kanał ciągnie się aż do jeziora *Birket-Kerum* podczas wylewu powstrzymuje wody Nilu, które wpadają w jego otchłanie. Przebycie go bardzo nas znużyło, po upływie paru godzin namioty nasze były rozpięte, i osiedliliśmy się w téj czasowéj siedzibie.

Piękna ta wioska wygląda jak zielona wysepka rzucona wśród niezmiernéj piaszczystéj przestrzeni. Z wysokości naszego obozowiska, cała ta oaza przedstawiała nam się bardzo szczegółowo. Na prawo wznosił się po nad domy ładny minaret, z drugiéj znów strony, kępy palm zielonych urozmaicały jednostajność krajobrazu. Wszystkie domy miały tarasy po nad dachami, na których widzieliśmy dużo ludzi i różne zwierzęta; to życie na dachach oryginalną tworzy całość. Tu kobiety rozwieszają bieliznę, tam Arabowie zajmują się różnemi pracami, to znów dzieci biegają i skaczą z dachu na dach jakby goniące się koty.

Najwięcéj jednak dziwiła nas niezliczona liczba psów najrozmaitszych rodzajów; trudno nawet w przybliżeniu oznaczyć ich ilość, to tylko pewna, że na każdym tarasie widzieliśmy ich po kilku. Siedzą jak sfinxy z okiem utkwionym w oddali, z największéj odległości dopatrując przybysza. Od zachodu do wschodu słońca, tysiące tych stróży domowych przywołują się i odpowiadają sobie na wszystkie tony; słysząc to można przypuścić, że Jezabet wolała już, żeby ją pożarły byle tylko nie słyszała ich przeraźliwych głosów. Byliśmy niesłychanie znużeni i utrudzeni całodzienną podróżą wśród pustyni, łatwo więc wystawić sobie jak nieznośnym był dla nas ten koncert psiéj muzyki, wprawdzie wyprawiany za darmo, ale za to musieliśmy chcąc nie chcąc słuchać go od szóstéj wieczór do piątéj rano.

Gniew, krzyk, odgróżki, wszystko nic nie pomagało; jeden z naszych drogmanów, z rewolweru zabił tych dwóch ichmościów—dopieroż rozpoczęły się wycia i szczekania, gdy cały psi ród zleciał się dla pożarcia swych zastrzelonych kolegów.

Z pierwszym dopiero brzaskiem słonecznym ucichła piekielna ta muzyka, i mogliśmy nareszcie zakosztować snu, tak gorąco upragnionego.

Nazajutrz rano szeik miejscowy dopomógł nam urządzić polowanie; główną jego ofiarą był ogromny dzik, ważący przeszło trzysta funtów. Wielka to rzadkość w téj miejscowości gdzie zwierząt tych jest nadzwyczaj wiele, ale zazwyczaj bywają niewielkie. Obfitość zwierzyny jest tu tak wielka, że za jednym strzałem po kilka sztuk ptastwa ubijaliśmy.

Powrót nasz z polowania był prawdziwym tryumfem; cała wieś radowała się żeśmy ją uwolnili od takiego szkodnika, a Koptowie, jako chrześcianie, przyjęli czynny udział w bankiecie, pomagając nam skonsumować naszą zdobycz. Byliśmy nawet tyle wspaniałomyślni, iż przebaczając psom ich nocny koncert, przypuściliśmy ich do uczty, oddając kości i wnętrzności, które gromady orłów i żarłocznych ptaków wydrzeć im usiłowały.

Nazajutrz rano opuściliśmy Tamych, leżące w północno—wschodniéj stronie Fayum, aby się posuwać ku środkowi téj prowincji; nad wieczorem mieliśmy stanąć w *Senuhres*; jest to w téj stronie najważniejsza miejscowość po Mediinet.

I teraz przebywaliśmy pustynię, ale nie tak piaszczystą i niebezpieczną. Tu grunt jest w ogóle twardszy, wielbłądy, osły, Arabowie i my z nimi mogliśmy postępować swobodnie. Bez zbytniego utrudzenia przebyliśmy dość długą drogę i przed zachodem słońca stanęliśmy w Senuhres.

VI.

Z powodu ważnego stanowiska pod względem handlowym i rolniczym, Senuhres posiada rządowe władze administracyjne, to też stosownie do zaleceń naszego drogmana, gotowi byliśmy poddać się wymaganym formalnościom i pokłonom. Przybywszy, rozpieliśmy namioty nasze na łące w stronie południowej, po nad brzegiem strumienia ocienionego prześlicznemi palmami.

Skończywszy toaletę, właśnie zamierzaliśmy złożyć nasze uszanowanie szeikowi i innym miejscowym dostojnikom, gdy postrzegliśmy jakiegoś młodego, bardzo świetnie wystrojonego Araba, biegnącego ku nam. Zatrzymał naszego drogmana i wdał się z nim w bardzo ożywioną rozmowę, nareszcie dowiedzieliśmy się, że zawiadomieni iż zamierzaliśmy ich odwiedzić, szeik i cała rada municypalna, przeprasza nas najuprzejmiéj, iż z powodu *nader ważnych przyczyn* w żaden sposób dziś nas nie mogą przyjąć, ale za to najniezawodniéj zaraz jutro rano panowie ci sami pośpieszą nas powitać, a teraz już przesełają nam zapewnienie swego szacunku i życzenia najdoskonalszéj pomyślności.

Bardzo zadowolnieni z tego oświadczenia, mieliśmy wracać do namiotu, gdy kilku z towarzyszy porozumiało się z drogmanem aby nas zaprowadził do owych słynnych tancerek, które tak pragnęliśmy poznać. Tyle nasłuchaliśmy się bowiem o nich od czasu pobytu w Egipcie, iż ciekawość nasza żywo była podbudzoną.

Po różnych zakrętach i kołowaniu około nizkich i brudnych drewnianych domków, stanęliśmy przed drzwiczkami przez które wchodziło i wychodziło bardzo wielu Arabów różnego wieku i płci, wejście wolne było dla wszystkich i nie potrzebowaliśmy się anonsować. Wszedłszy w mały, czworąkątny dziedziniec, zobaczyliśmy z jakie dwanaście kobiet siedzących na matach i kobiercach, zajadały pomarańcze i zapijały *araki*, w towarzystwie kilku bogato ubranych panów, nie zmieszanych bynajmniéj naszem przybyciem. Pozdrowiliśmy ich po arabsku, odkłonili nam się najuprzejmiéj i robiąc miejsce koło siebie prosili, abyśmy zasiedli jakby w rodzinnem kółku.

Dopieroż zaczęła się pocieszna rozmowa. Wybierając się odwiedzić te damy, nie pomyśleliśmy o tem, że nasza zbyt mała znajomość języka arabskiego, rozmowę z niemi niepodobną prawie uczyni. Najlepiéj znaliśmy wyrażenia odnoszące się do siodłania osłów i objuczania wielbłądów, a niepodobna przecie tym stajennym językiem rozmawiać z damami. Powtarzaliśmy więc tylko *„koiss ketir* i *ketir koiss*, dopełniając myśli cukierkami i przysmakami jakiemi zarzucaliśmy je wszyscy.

*„Ya habibi"* odpowiadały na nasze grzeczności, i przytem uśmiechały się do nas bardzo pociesznie i oryginalnie. Sąsiedzi nasi bawili się bardzo tem naszem wysilaniem się na grzeczności. Ładniejsze z tych tancerek przybrane były w bogate ozdoby, kosztowne naszywki i bransolety, a złote monety najróżnorodniejszych stempli, na drucikach poprzypinane do grubych warkoczy, świadczyły jak hojne otrzymywały *bobszise*.

Jedna szczególniéj zwróciła naszą uwagę, nie tyle regularnością rysów, jak raczéj dzikim jakimś wdziękiem i nadzwyczajnym ogniem płonącym w jej oczach. W pośród innych tancerek była ona prawdziwą artystką, i może z téj przyczyny przypadkowi nasi koledzy szczególniejszemi otaczali je względami. Od drogmana dowiedzieliśmy się iż nazywała się *Hasné. Hasne Köiss ketir* powtarzaliśmy przez cały wieczór i prosty ten frazes miał wielkie powodzenie, uwieńczone jeszcze moim, nie przewidzianym przez krajowców pomysłem. Wyciągnąłem z kieszeni małą kolorową bawełnianą chusteczkę za kilkanaście susów, i pokazałem tancerce. Pochwyciła ją prędko i jak małpeczka zaczęła się nią bawić, kładąc na szyję, na głowę, na czoło, i już miała myśl uciekać ze swoim skarbem aby go nie utracić, ale dałem jéj do zrozumienia, że to jest *bakczis* który dla niéj przywiozłem. Radość jéj nie znała granic; przybiegła do mnie okazując tak szalone zadowolnienie, iż bałem się doprawdy żeby mnie nie zjadła w uniesieniu dzikiéj wdzięczności.

Nareszcie towarzysze nasi oddalili się zostawiając nam wolne pole, z czego korzystając zaprosiliśmy je nazajutrz rano, umyśliwszy urządzić wielkie przyjęcie.

Z radością przyjęły zaproszenie. Miały być tańce tych almei, iluminacja, gonitwy z pierścieniami, strzelanie do celu i bal na który zamierzaliśmy prosić szeika i jego urzędników, którzy już zapowiedzieli nam swoje odwiedziny.

Jakież było nasze zadziwienie, gdy nazajutrz w przybyłych dygnitarzach, poznaliśmy wczorajszych towarzyszy naszych odwiedzin u tancerek. Otóż ów nader ważny powód *tak* szumnie wypowiedziany wczoraj przez ich wysłańca, oznajmiającego nam z żalem, iż nie mogą w żaden sposób przyjąć naszych odwiedzin.

Dygnitarze ci byli dziś bardzo poważni; raczyli jednak przyjąć zaproszenie na śniadanie. Smutna była dola naszego obrusa i serwet, gdyż dostojnicy zamiast noży i widelców, z pomocą palców spożywali potrawy. Najlepiéj ze wszystkiego smakowała im musztarda Dižońska, uraczyli się nią dowoli. Rozstaliśmy się nareszcie, mówiąc do widzenia, gdyż obiecali przybyć na wieczorną zabawę.

Drogman nasz przypasał szpadę i nowe *kuffi* okręcił około turbana, co było oznaką iż oczekuje niezwykłéj uroczystości.

Około siódméj wieczorem, oświetliliśmy największy nasz namiot lampami z kolorowego papieru; nasze łóżka, walizy, kuferki podróżne, artystycznie porozstawiane rzędami, stanowiły loże a daléj pierwszo i drugorzędne galerje, gdyż spodziewaliśmy się licznych gości, członków rady municypalnéj, krewnych i przyjaciół tancerek, jakoteż wszystkich naszych przewodników i służby.

Hesné dotrzymała słowa, przybyła szastając się głośno i pysznie wystrojona. Miała na sobie długą błękitną suknię przerabianą złotem, przewiązaną w pasie szeroką jedwabną frendzlą, a na głowie żółtą materję zręcznie bardzo poprzewijaną z pośród któréj spuszczały się na ramiona liczne zwoje czarnych włosów, a kilka promieni pochwyconych w maleńkie złote obrączki spadały na czoło. Oprócz tego na całéj głowie rozrucone było bardzo wiele złotych pieniędzy, brzęczących za każdem poruszeniem. Ten dziwaczny ubiór, metaliczny dzwięk złota, ostre krzyki jakie wydawała stawiając pierwsze kroki barbarzyńska muzyka i instrumenta przygrywających muzykantów, wszystko to razem tak obce i nowe dla nas, miało w sobie coś szatańskiego. Orkiestra składała się z trzech instrumentów, *darabuka* rodzaj bębna z palonéj glinki, *Kemcugeh* niby wiolonczela o dwóch stronach, i nakoniec *zumara* rodzaj fujarki, przywodzącéj nam na myśl królów pasterzy. Melodja była równie dzika jak taniec któremu towarzyszyła.

W miejscu przeznaczonem do tańca, rozłożyliśmy najpiękniejsze nasze dywany; artystka nie dała się prosić, jak tylko zabrzmiały pierwsze dźwięki *daruby*, jednym susem stanęła na scenie. Podniecona tak licznem zebraniem, przyobiecanym książęcym bakszisem, a może i obecnością całéj rady municypalnéj, przeszła sama siebie na tym popisie choreograficznym.

Jéj palące oczy rzucały błyskawice; pierwsze poruszenia były tak wolne i miarowe, iż zaledwie poruszała się z miejsca, powoli muzyka zaczęła się ożywiać, wtedy do niewysłowienia dziwnych poruszeń i przegięć, łączyły się szybkie, drobne zaledwie dostrzeżone kroki. Podstawą tańca almei są konwulsyjne prawie ruchy i przeginania. W miarę jak muzyka przyśpieszała taktu, ruchy, wyginania, poruszenia rąk i głowy tancerki, przybierały dzikszy, więcéj gorączkowy charakter, a w najwyższym paroksyzmie tej rytmicznéj epilepsji, pochylała się jakby omdlewając, zwolna osunęła się na kolana, i w téj postawie wykonywała nowe, oryginalne, dziwniejsze, erotyczniejsze i coraz więcéj malownicze figury. Trzeba przyznać, że miała nadzwyczaj wiele powabu i uroku, w tych rozkosznie wyzywających pozach; była to zwinność węża z gracją gazelli.

Całą godzinę zachwycała nas tak swoim tańcem; to też nie oszczędzano jéj oklasków, cukierków, pomarańcz, araku i bakszysów. Szał uwielbienia ogarnął zgromadzonych, a szczególniéj w dwóch naszych wielbłądników dosięgnął szczytu paroxyzmu,—we dwóch tworzyli niewypowiedzianie komiczną gruppę

Obaj byli ślepi na jedno oko, widać niedola ta zbliżyła ich i połączyła z sobą, stanęli bowiem obok siebie na stopniach tego improwizowanego amfiteatru. Już araki i muzyka wyrobiły w nich nadzwyczaj wesołe błogością tchnące usposobienie, lecz gdy Hasné padła na kobierzec jak zraniona lwica, zapał ich nie znał granic. Jeden pochwycił głowę towarzysza i ruszał nią w takt wyjąc prawie z zadowolnienia; zdawało się, że chce ją urwać i rzucić tancerce zamiast bukietu; i dziwna rzecz, ten którego głowa służyła do wybijania taktu, poddawał się operacji z oznakami najżywszéj radości. Przyszło do tego, że ku końcowi przedstawienia. oba turbany które pochyliły się najpierw ku uszom właścicieli, w paroksyzmie szału, opuściły swe stanowisko i spadły oba na ziemię. Nic pocieszniejszego jak tych dwóch jednookich, z obnażonemi głowami, ściskających się zapamiętale ze zbytku rozczarowania.

Ale nic wiecznego pod słońcem;—lampy zaczęły gasnąć i całe zgromadzenie rozeszło się po niezliczonych ukłonach i grzecznościach. Nie żałowaliśmy podjętych trudów gdyż służba i eskorta nasza była w zachwyceniu, a cała rada municypalna powzięła o nas jak najpochlebniejsze wyobrażenie.

Hasné powróciła w tryumfie do domu na najpokaźniejszym z naszych osłów, i nie dała nam czekać na dowody swéj wdzięczności. Zaraz nazajutrz, jeszcze przed piątą rano, zbudził nas ze snu pisk głosów kobiecych;—była to Hasné z towarzyszkami, przybyły nas odwiedzić. *„Ya kouloum habibi ketir"* wołała; uważała nas za swoich najlepszych przyjaciół, i dla tego postanowiła odwiedzić nas zaraz po wschodzie słońca.

Choć znużeni wczorajszą zabawą, radzi nie radzi musieliśmy wstawać, i cały poranek ubawiliśmy się jéj towarzystwem. (d. c. n.)